

W drodze do Damaszku. Rozmyślania na 2020 rok.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Vade. Lecz dokąd, w którą stronę?

Nadal przed siebie, wzdłuż niekończącego się muru?

Nadal próbować znaleźć drzwi do jakiejś mrocznej tajemnicy?



Michelangelo Merisi da Caravaggio: Nawrócenie świętego Pawła w drodze do Damaszku

Przejmujący obraz Caravaggia „Nawrócenie świętego Pawła w drodze do Damaszku” interpretuje moment, gdy Szaweł usłyszał głos z nieba: „Szawle, dlaczego mnie prześladujesz”? Od tej chwili stał się innym człowiekiem, Apostołem Narodów

szerzącym Słowo Boga na ziemi. Caravaggio namalował pogrążonego w ekstazie mężczyznę, z rękoma wzniesionymi do nieba, leżącego pod kopytami końskimi, jakby spadł z konia. Złote światło, oświetlające postać ludzką i konia, odsłania tajemnicę przemiany, która zdarzyła się w drodze do Damaszku. Przemiana nagle, gwałtowna, zaskakująca dla Szawła, odmieniła go czyniąc innym człowiekiem.

„Podróż może być poszukiwaniem samego siebie, może być ucieczką przed sobą, może mieć charakter pokuty lub kary”- napisał Bolesław Miciński, poeta-filozof, poruszający w swojej twórczości temat kondycji duchowej człowieka. Zastanawiałam się w tegorocznym okresie świąteczno-noworocznym, jak bardzo każdy z nas potrzebuje przemiany na lepsze. Wypowiadamy w tym czasie życzenia jak zaklęcia z nadzieją, że spełnią się, czyniąc nas lepszymi, szczęśliwsiymi, zdrowszymi.

Udaj się w podróż - nieruchomą - która przybliży ci ruchomy świat,

ulotną podróż, która cię utrwali

w jaskrawo białym świetle poranka;

udaj się w podróż - śmiertelną - w której

zmartwychwstaniesz.

(„Udaj się w podróż”, R. Krynicki)

„Podróż do Damaszku” stała się symbolem przemiany dokonującej się w człowieku w trakcie podróży, którą rozumiemy jako metaforę ludzkiego losu. Chcielibyśmy zapewne zmiany szybkiej, cudownej, jak przemiana Szawła, gdy tymczasem życie proponuje nam długą, zawikłaną wędrówkę, która może, ale nie musi, być dążeniem do samopoznania, odnalezienia sensu istnienia wśród ludzi i w świecie.

„Jest życie i jest życie w wielkim stylu, powyżej własnych możliwości. Tylko to drugie, życie w wielkim stylu, sprawia, że żywot jest godny przeżycia” – tak rozumiał sens życia pisarz, znawca kultury i sztuki Andre Malraux. Przekraczając swoje możliwości, czyli zapominając o sobie, człowiek zaczyna myśleć o innych, dawać bezinteresownie siebie i swój czas innym. Nic nie jest nam dane raz na zawsze i dlatego należy walczyć o swoją jasną stronę człowieczeństwa, o horyzont wewnętrzny, każdego dnia. Krzysztof Michalski, filozof, myśliciel religijny, swoimi pracami wniósł znaczący wkład w rozwój myśli traktującej o kondycji człowieka w nowoczesnym świecie. W książce „Eseje o Bogu i śmierci”, wydanej już pośmiertnie, filozof rozważa elementarne zagadnienia: co to jest dobro i co to znaczy czynić

dobro, jakie miejsce zajmuje w naszym życiu Bóg, myśl o śmierci, refleksje metafizyczne. Czy jesteśmy jeszcze ludzcy w naszym informatyczno – konsumpcyjnym świecie, z kultem rzeczy i pieniądza? Michalski przywołując dawną maksymę Pindara „Stań się, kim jesteś”, interpretuje ją pisząc:

Człowiek nie jest, lecz staje się Czymś, ciągle, nieustannie.

Czy wkładamy wystarczająco dużo siły, odwagi, chęci, by dowiedzieć się kim i po co jesteśmy?

Pisarz amerykański, wnikliwy obserwator naszych czasów, Paul Auster, napisał:

Zniknęło coś, co kiedyś istniało. Zmniejszyła się rola sztuki i duchowości w naszym życiu wewnętrznym.

Zaś Andrzej Stasiuk, polski prozaik i eseista, obserwujący współczesny świat z perspektywy swego domu w Beskidzie Niskim notuje z niepokojem:

Od kapitalizmu czas się zbiega jak słaby T-shirt w praniu. Trafiliśmy w piekło ekonomii. Doświadczenie, że wszystko

można kupić, że wszystko jest na sprzedaż, jest uczuciem dojmującym i niezwykle dołującym. Trudno pogodzić się z władzą pieniądza i z tą rażącą niesprawiedliwością, że jedni umierają z głodu, a drudzy pływają się w nadmiarze. Tak, zawsze byli i biedni i bogaci, ale teraz te dysproporcje są niemoralne, gdyż świat ma narzędzia, by to zmienić, a tego nie robi. Duchowo jesteśmy w zupełnym upadku. Życie wewnętrzne zastąpiły nam internet i zakupy.

Może kiedyś ze szczątków
naszych pół-prawd, pół-kłamstw,
jakiś owadzi Cuvier
odtworzy całe monstra
nie do uwierzenia.
(„Może kiedyś”, R. Krynicki)

Biorąc za kryterium oceny cywilizacji naturę człowieka, możemy

wyróżnić cywilizacje przyjazne człowiekowi, realnie wspierające życie osobowe człowieka oraz cywilizacje hamujące rozwój osobowy jednostki. Cywilizacja materialistyczna, najogólniej ujmując cywilizacja rzeczy, a nie osób, nazwana została przez papieża Pawła VI i Jana Pawła II – cywilizacją śmierci. Zamykając człowieka w świecie rzeczy, redukuje go do dóbr skończonych, wygodnego egoizmu, którego ceną stało się zniewolenie przez materię, ograniczenie myślenia, samotność i niemożność współodczuwania.

„Coś jest ze światem nie tak. To poczucie, zarezerwowane kiedyś tylko dla neurotycznych poetów, dziś staje się epidemią nieokreśloności, sączącym się zewsząd niepokojem” – wyraziła swe obawy w wykładzie noblowskim Olga Tokarczuk, nasza pisarka nagrodzona Noblem Literackim za rok 2018.

Coraz więcej wokół nas ludzkich samotności, kłótni i nieporozumień, tematów miałych, nieistotnych, a wszystko zmieszane z chaosem i hałasem naszej codzienności. Nie zmienimy naszego świata od jutra, może to nie my go zmienimy, tylko następne pokolenia. Ale póki jesteśmy w „drodze do Damaszku”, możemy spojrzeć innymi oczami na świat, możemy coś dostrzec, jak jedna z bohaterek opowiadania Czechowa:

Patrz na niebo, tylko nie mrugaj – mówi Sasza do Motii –

widzieć aniołki. Motia zaczął też wpatrywać się w niebo i chwila minęła w milczeniu. Widzisz? – zapytała Sasza. Nie widać – odpowiedział Motia basem. – A ja widzę. Małe aniołki latają po niebie i skrzydełkami tak myk, myk, myk, niby komarki.

Czas noworoczny uwrażliwia nas i roztkliwia. Obyśmy ujrzeni aniołki i nauczyli się od nich tej czułości, o której mówiła Olga Tokarczuk w cytowanym już wykładzie noblowskim:

Czułość – najskromniejsza odmiana miłości jest spontaniczna i bezinteresowna, jest głębokim przejęciem się drugim bytem.

Wszystkim nam będzie lepiej w świecie przepełnionym czułością, troską, dobrocią. Cyprian Kamil Norwid, poeta dziś aktualny, głęboką przenikliwością geniuszu „z piórem w krwi maczanym”, mówi do nas:

Co piszę? – mnie pytałeś – oto list ten piszę do Ciebie...

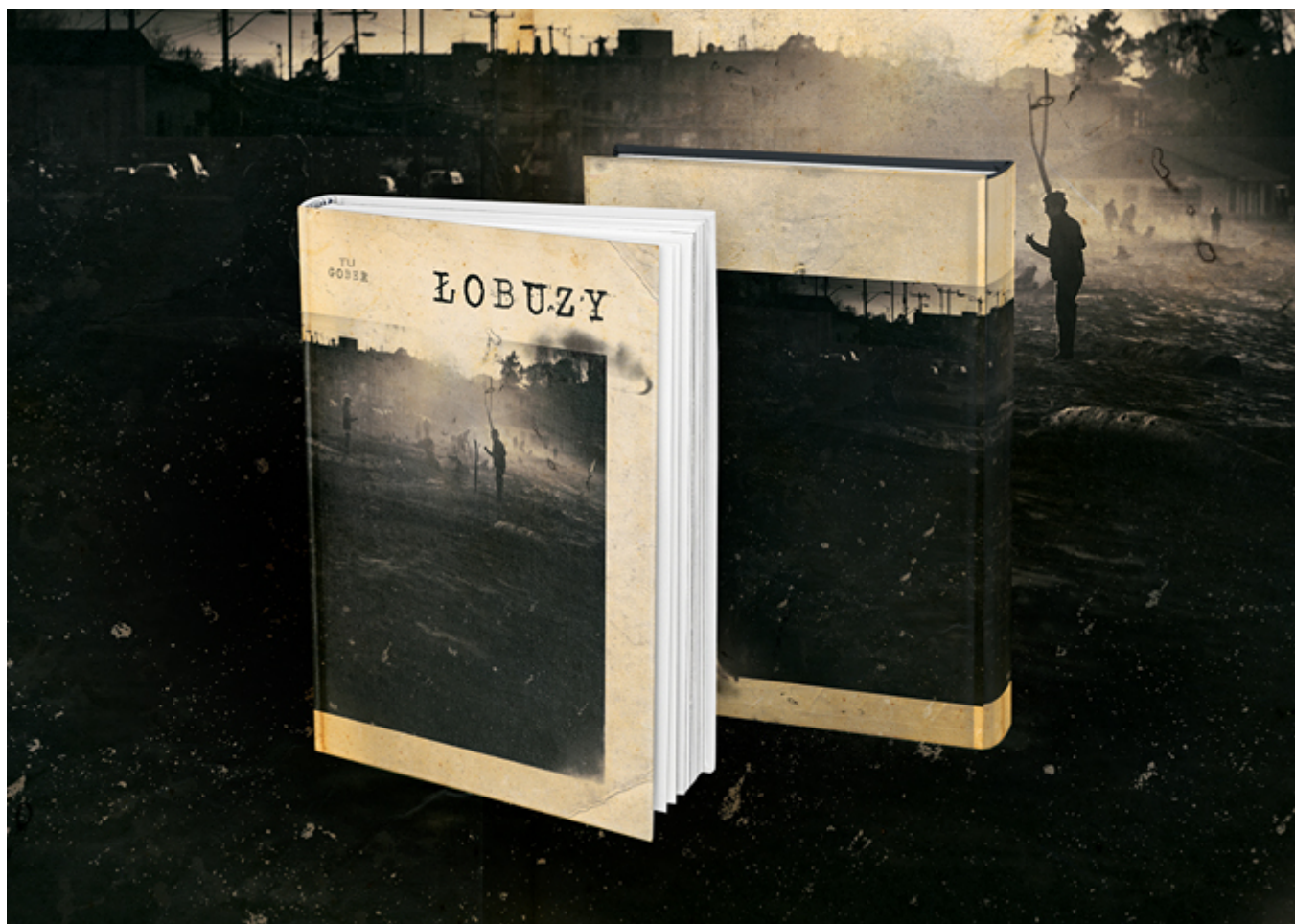
Z rzeczy świata zostaną tylko dwie,

Dwie tylko: Poezja i Dobroć ...i więcej nic...

(„Do Bronisława Z.”)

Dobroci, Czułości, Miłości dla świata i Poezji w Nowym Roku 2020 życzy czytelnikom magazynu „Culture Avenue - Polska kultura poza krajem” Katarzyna Szrodt.

Łobuzy (fragment)



Tu Gober (*Bogumił Dominik Pałys, Irlandia*)

Potok to małe miasteczko. Zamieszkiwało je coś w okolicach dwudziestu tysięcy ludzi. Umieszczone w niewielkiej dolinie i otoczone szeregiem wzgórz morenowych i lasów, poprzecinane było wartkimi korytami rzek oraz ich licznych odnóg. Rzeki i liczne strumienie zapewne nadały miasteczku imię, gdyż w Potoku są ich aż dwie – Spływka oraz Kaszubia, a przez okoliczne knieje płynie jeszcze jedna o nazwie Górna. Lasów wokoło aglomeracji było naprawdę dużo i praktycznie całą miejscinę okalały ich bujne gęstwiny. Miejskie powietrze wypełnione było intensywną wonią dojrzałych iglaków, a żeby wjechać, lub też

wyjechać z Potoku, trzeba było przemierzyć spore połacie lasów. Żwawo płynąca woda, małe wodospadziki i mnogość zieleni, sprawiały, że okolica była bardzo malownicza. Ludzie, gdy tylko mogli, przesiadywali lub spacerowali w tych pięknych terenach. Bujne, zadbane parki, zielone łąki na skrajach lasów lub miejskie promenady przy rzekach, często gościli przechodnie i piknikowicze. Chłopcy, którzy mieszkali tam od urodzenia nie zdawali sobie sprawy z wdzięku ich miasta. Dla nich był to po prostu wielki plac zabaw. Choć mieli dopiero po jedenaście lat pozwalali już sobie na eskapady w najdalsze zakątki miasteczka. Ich celem nie było jednak zwiedzanie przyrody lub bezczynne siedzenie na ławkach. Szukali czegoś, gdzie można się było poganiać lub powyglupiać. Lubili też wchodzić na drzewa, odwiedzać wszystkie budowle, łązić po dachach i zwiedzać każdy kąt dla nich nowy.

- Dobra no choooc dasz radę!
- No kurde, noga mnie boli!
- Daaawaj, pomożemy ci!
- No nie wiem... a jak ja zejde?
- No też ci pomożemy, daaaaawaj!

- No dooobra... tylko dajcie mi rękę, bo nie mogę jeszcze stawać na nogę.

Chłopaki wspinali się właśnie po piorunochronie. Najpierw weszli na garaż, co nie było zbyt trudne, a szczerze mówiąc była to dla nich bułka z masłem, albo kanapka ze szczypiorkiem.

- Ałaaaa, nie mogę się oprzeć nogą, podajcie rękę - Szymkowi w końcu już też udało się wdrapać i teraz mogli spacerować sobie po jednopiętrowym budynku. Bardzo lubili chodzić po dachach i czuli się naprawdę wspaniale, spacerując tak na wysokościach, gdy ci na dole nie mieli pojęcia, że ktoś właśnie drepcze nad ich głowami. Tam w górze widzieli wszystko jak na dłoni, a kominy mogli wykorzystać jako osłonę przed przeciwnikiem. Tymi wrogami byli wszyscy, którzy mogli by ich tam zobaczyć, ponieważ nie podobało się to nikomu i prawie zawsze, gdy ich przyuważono, kazano im szybko zejść na dół i często też mogli za takie harce oberwać. Za osłoną kominów, kryli się więc i kucali, a anteny telewizyjne zdawały się być lufami karabinów i chłopcy byli znów jak Comando.

- I co dzisiaj robimy wieczorem?

- Ja idę do domu bo jutro sprawdzian z matmy - odparł kolegom Mateusz.

- No i co z tego?
- No chcę się nauczyć , bo dostane pałę... nic nie umiem.
- Ja też nic nie umiem - powiedział Daniel.
- Ja też - dodał Szymon.
- I co? Nie będziecie się uczyć?
- Nie e.
- No bo jesteście głupi.
- Ty jesteś głupi - odpowiedzieli koledzy.
- A wy najgłupszy - ciągnął tą słowną potyczkę Mati.
- A ty jesteś głupi dziobak - odparł mu Daniel
- Dobra idziemy - wtrącił się Piotrek i tamci ruszyli za nim wciąż jednak kontynuując swą waśń.

Wygłupy oraz przytyki to dzienny porządek podczas ich spotkań na podwórku, czy w szkole i Szymonowi nieco się obrywało, gdyż kuśtykał i nie mógł biegać więc chłopaki, bardziej niż

zwykle mogli pozwolić sobie na strojenie sobie z niego żartów.

- Kuternoga.

- Połamaniec, hehe.

- Spadajcie... Nie chcielibyście tak!

Gdy zeszli już z dachu i powoli wracali w swe strony, Mateusz zadzwonił do jednych drzwi, po czym chłopaki zwiali co sił w nogach, zostawiając Szymona z tyłu. Trudno opisać ile sprawiło im to radości, a protesty kumpla, jedynie ją powiększały.

- Nie róbcie tak gnoje! - groził nicponiom.

- Haaaaahahahahahaha!!! - dokazujących kumple ogarnął szaleńczy śmiech.

- Jeszcze zobaczymy! - w nerwach lecz z przenikającym często chwilowym uśmiechem, kaleka zasuwał do przodu, biegnąc jak gdyby na jednej nodze.

Było już po dziewiętnastej, lecz chłopcy postanowili jeszcze usiąść na bloczkach z betonu, które zalegały od lat na terenie szkoły. Gadali o „dupie Maryny” bo nie chciało im się iść do domów. Ze sobą czuli się najlepiej i często to powtarzali, że

szkoda iż wszyscy nie byli braćmi, ponieważ mieszkali by wtedy razem i mogliby spędzać ze sobą jeszcze więcej czasu.

- Maaaaarek! Dało się słyszeć wołanie z daleka.

- Muszę iść, to moja starsza.

- Dobra ja też idę.

- Ja też, ja też - rozstali się młodzi kumple, krzycząc coś jeszcze za sobą.

Jednego razu Marek miał bić się po lekcjach z Bąkiem, więc wszyscy na to czekali. Był on od niego starszy o rok i jako najwyższego w klasie, uważano go za jednego z silniejszych z czwartej B. Pomimo to był również chudy jak szkapa i czasem zdawać się mogło, że zaraz poprostu się cały rozsypie. Ta awantura wybuchła, gdy tamten dryblas powiedział coś do jego siostry i Maro się za nią wstawił. Wszyscy koledzy z paczki wiedzieli, że Bąku, choć był chudzielcem, nie można go było nazwać słabiakiem i że nieźle radził sobie w sporcie, a więc dopingowali mocno swojemu młodszemu koledze z podwórka, który chodził do trzeciej klasy. Na każdej kolejnej przerwie spotykali się, dając rady i mobilizując jak mogli kumpla, który to zdradzał lekkie obawy, przed starciem ze starszym od siebie rywalem.

- Dasz mu radę, to strach na wróble!

- No właśnie, połamiesz mu kości jak patyki - hehe.

Marek nie odzywał się dużo i w jego gardle narastało coś w kształcie kluski, której nie można przełknąć. Czuł strach, ale nie mógł się teraz wycofać bo okazałby słabość i zrobił by z siebie pośmiewisko.

Na otwartym polu przy działkach, odbywały się szkolne solówki. Miejsce to znajdowało się jedynie około czterdzieści metrów od budynku ich szkoły, lecz zasłonięte było płotem oraz drzewami, więc żaden z nauczycieli nie mógł niczego dojrzeć. Jak zwykle na pokaz dzikich sztuk walki, przybyło znów wielu widzów.

- Dawaj Bąku lej go! - dopingowali jego koledzy z klasy.

- Nie daj się Marek! - podkręcali do boju, przeciwni kibice.

Wyglądało, że Maro dostanie dziś spore bęcki, bo tamten wyższy o ponad głowę okładał go z góry, długimi jak szpadle łapskami. Dużo niższy wojownik nie miał za dużo manewru i mógł póki co jedynie chronić swą twarz i unikać spadających nań ciosów. Nie było szansy, aby mógł przedrzeć się swymi krótkimi dłońmi, przez nawałnice czynioną przez Bąka i jeszcze trafić wysoko utkwioną głowę rywala. Czasami zmieniał się tryb bijatyki i

jeden drugiego chciał zwalić na ziemi szarpiąc się za ubrania oraz starając podstawiać haki. To była walka bez, żadnej gracji. Zwykła szamotanina, lub przebieranie pięściami „na chama”, gdzie ten roślejszy napastnik okładał drugiego na oślep i nawet młoda i niezbyt wybredna publiczność była już zniesmaczona takim widokiem. Dopiero po jakimś czasie, Mareczek odkrył jak może zagrozić tamtemu i zaczął używać nóg. Niskie kopniaki skierowane na łydki oraz piszczele, zdały się zaskoczyć wroga, sprawiając mu widoczny ból. Jednak zamiast zwolnić naparł on z jeszcze większym zacięciem na Marka, trafiając go raz na tyle mocno, że stracił on równowagę i poleciał do tyłu na giętkich nogach, szczęśliwie lądując na publiczności, która wrzuciła go znowu na trawiasty ring. Na szczęście nie był to cios trafiony w jakiś czuły punkt taki jak kość policzkowa, łuk brwiowy, szczęka lub nos. Chłopak dostał jedynie gdzieś w czoło, więc stanawszy znów pewnie na nogach był w pełni gotów by dalej się bić. Co więcej, zdawało się, że nabrał on sił i wigoru, a jego kopnięcia zaczęły lądować wyżej. W pewnym momencie Baku dostał od niego w żebra i musiało go to srogo zaboлеć, gdyż skrzywił się i zgiął się raptownie, a jedna z rąk, bezwarunkowo powędrowała w kopnięte miejsce. Maro nie czekał długo i prawym prostym wykorzystał swoją okazję. Uderzył tamtego w zęby, a potem jeszcze raz gdzieś pod oko. Jego przeciwnik, musiał to solidnie odczuć bo skrył tylko twarz w swoich dłoniach i chociaż stał dalej na nogach i śmiesznie przebierał łokciami jakby chciał dalej walczyć, Marek nie miał już trudu, aby powalić dryblasa.

Podstawił za nim swą lewą nogę i pchnął go do przodu, sprawiając, że tamten runął do tyłu jak długa kłoda. Skoczył potem na niego i przyparł go mocno do ziemi. Chwytając Bąka za jego chude łapiny, chwilę się z nim szamotał i w końcu przycisnął je obie do gruntu, trzymając je tam przez chwilę.

- Na łopatkach, wygrał, wygrał! - odezwały się zewsząd krzyki.
- Niech wstanie i niech biją się dalej - dały się słyszeć inne.
- Wygrał, wygrał! Koniec walki! Marek wygrał! - kompani z paczki, odciągnęli kolegę i zaczęli klepać go radośnie po plecach, a Bąku nie protestował i zdawał się pogodzić z takim wynikiem, mając wyraźnie dosyć tej bitki. Wstał znów na nogi i starał się trzymać postawę, lecz widać było, że bardzo zawstydził go fakt porażki z trzecioklasistą. Maro był cały czerwony, miał guza na czole i jeszcze więcej na głowie, a jego poszarpane, lecz trzymał się dzielnie jak buhaj.

Poszli więc w swoją stronę, a z tyłu została cisza i niesmak. Kumple natomiast cieszyli się bardzo i niezmiernie chwalili Marka, który urósł dzisiaj w ich oczach i obronił swój honor i dumę.

- Chodźcie do mnie, zagramy w Pegazusa - zaproponował im Szymon, na co chłopcy od razu przystali. - Mam nowe

„kartridże” od wujka Mirka.

- No co ty gadasz?! A jakie?
- Street Fighter i Księgę Dżungli!
- Ooooo! Suuuper! Biegniemy! Kto pierwszy ten król!!!

Pobiegli więc, jak zwykle ścigając się po drodze i skacząc przez murki i płot. Z nogą Szymona było już prawie wszystko w normie i tylko trochę kuśtykał nie dając się zostawić daleko w tyle. Ich plecaki skakały na nich jak głupie, ale ich ciężar nie przeszkadzał tym pierwszorzędnym sprinterom. Wparowali jak przeciąg do domu i już chcieli zabrać się za granie, gdy nagle spostrzegli, że w dużym pokoju, obok telewizora, brakuje stojącej tam zawsze konsoli.

- Maaaaamo, gdzie jest pegazus!!!?! Mamooo słyszysz! - Szymon z podniesionym głosem wparował do kuchni.
- Po pierwsze nie krzycz, a po drugie schowałam go, bo dzwoniła do mnie dyrektorka i mówiła, że wczoraj nie było cię w szkole - oznajmiła mu dosyć spokojnie matka.

Wiadomość ta ścięła z nóg chłopca i stał tylko jak wryty czerwieniąc się cały na twarzy, oraz wpatrując w mamę.

- A teraz mów do cholery gdzie byłeś!?! - dodała po chwili, tym razem podnosząc znacznie swój ton. - Na wagary chodzisz gówniarzu jeden? Czy ja cię tego nauczyłam? Gdzie byłeś?

- W szkole! - ze zdziwioną miną i głową zapatrzoną w podłogę, odpowiedział już dużo spokojniej małolat.

- I jeszcze do tego kłamię, ja ci dam Pegazusa! Przez rok go nie zobaczysz!

- Ale maaamo... - zaciągnął Szymek.

- Co mamoo?!? - krzyknęła matula.

Koledzy, słyszący wszystko z pokoju, zdawali się mieć drgawki. Pomimo dość przestraszonych min nie mogli zapanować nad cichym rechotem, szturchając jeden drugiego.

- Koledzy do domu, a ty do nauki!

Kumple prędko czmychnęli z mieszkania, a rozgniewana matka dalej pytała syna.

- Powiesz w końcu prawdę czy nie? Jak nie powiesz gdzie byłeś to przez miesiąc będziesz miał karę.

Chłopiec się nie odzywał.

- No mów!

- W szkole.

- Jak w szkole, jak pani dyrektor mówiła, że cie nie było! Wiesz, że ona dzwoni do mnie jak coś nabroisz! To gdzie byłeś naprawdę!? - Tym razem, kobieta uniosła dłoń jakby chciała wypalić mu klapsa.

- No w szkole byłem... - po tych słowach chłopak oberwał po głowie i uszach.

Dostając solidne razy, zawołał:

- No byłem w szkole, tylko nie na lekcjach - protestował jękliwie łobuz.

Matka westchnęła z dezaprobatą.

- To gdzie ty tam byłeś? - wciąż głośno, ale z ręką ściągniętą już w dół, dalej go wypytywała.

- No w szatni, w piwnicy.

- Do cholery jasnej zamiast na lekcjach to ty siedzisz w jakiejś piwnicy? Co to ma być! Co ty tam robiłeś?

- Nie mogłem iść bo był sprawdzian, a ja nienawidzę tej głupiej matmy.

- To co ty w ogóle lubisz, z innych lekcji też masz dwóje i pały. I co tam robiłeś pięć godzin?

- Uczyłem się.

- Na lekcjach się uczy, a nie w jakichś piwnicach, co ty za głupoty gadasz!?!

- Naprawdę, bo jutro jest sprawdzian z gegry.

Matka patrzyła z niedowierzeniem na syna i na moment wyglądała jakby zastanawiała się nad czymś zupełnie innym, jakby jakieś wspomnienie przemknęło jej przez myśl.

- Koniowi na ucho - powiedziała w końcu już nieco spokojniej - poza tym nie opuszcza się jednych lekcji, żeby uczyć się na inne!

- Ale ja lubię gegrę, a matematyki nie lubię i nie chce mi się uczyć tych głupich ułamków...

- Masz chodzić na wszystkie lekcje i koniec dyskusji ! Jak jeszcze raz się dowiem, że uciekłeś to dostaniesz tak, że na zawsze zapamiętasz i jeszcze do końca roku nie wyjdiesz z domu!

Szymon wystraszył się trochę tych słów i czuł, jakby jakaś twarda gula podchodziła mu gdzieś z okolic płuc aż do gardła. Wcisnął ją siłą woli z powrotem, ponieważ nie chciał płakać i tylko dwie albo najwyżej trzy łzy, zaczęły spływać powoli po jego policzkach. Szybko je wytarł, wyciągnął z plecaka zeszyty, piórniki i jakiś podręcznik i w zamyśleniu począł udawać, że coś z niego czyta.

- Co ja z tobą mam... - matula żaliła się smutno, powróciwszy do gotowania obiadu.

Kuchnia dzieliła się na część przeznaczoną do sporządzania i przechowywania żywności i część ze stolikiem przy oknie, gdzie jedli i gdzie Szymek odrabiał lekcje. Poza tym był tam jeszcze kąt przeznaczony do przechowywania przedmiotów ogólnogospodarczych, takich jak miotła, wiadro, pojemnik na jakieś szmaty i szczotki, a obok mieścił się nieduży schowek, gdzie upchane były garnki, patelnie i inne sprzęty kuchenne. Podłogę pokrywało jasnobrązowe gumoleum, z niewyraźnym już wzorem, startym od tysięcy stawianych nań kroków. Kafelki w części kuchennej, były bladobrązowe i jednolite, a część ze stolikiem, imitująca małą jadalnię pomalowana była kiedyś białą

farbą, która po czasie zszarzała i ozdobiła plamami i zaciekami. Po wielu latach użytkowania, przydałby się tam solidny remont, lecz nie było ich stać na wynajęcie fachowca, a matka nie potrafiła sama się za to zabrać. Wujek Mirek już od dawna obiecywał, że im w tym pomoże, lecz wciąż to odkładał i żyli tak w tych skromnych warunkach, dalekich od elegancji oraz komfortu. Reszta mieszkania, była w podobnym stanie i choć nie panował tam brud, widać było, że lokatorom się nie przelewa i bieda, postawiła tam swoją pieczęć.

Niesforny uczeń, zaczął pisać coś w końcu w zeszycie, ale myślami odbiegał co chwilę do wczorajszego dnia, gdy w czasie trwania lekcji schował się w szatni, umieszczonej w piwnicy szkolnej. W zasadzie nie siedział tam długo, ponieważ wraz z Mateuszem, znaleźli tajemne przejście, prowadzące do części szkolnych podziemi, do których normalnie nie było wstępu i gdzie magazynowane były różnego rodzaju przedmioty, archiwa oraz mieściła się też palarnia i kilka innych pomieszczeń. Dostali się tam przez szczelinę, przez którą szły rury do ogrzewania. Między nimi i sufitem była na tyle spora luka, że mogli się przez nią przecisnąć. To odkrycie zrobiło na nich ogromne wrażenie i nie mogli odejść od zachwyty, gdy podziwiali wszystkie przedmioty i przestrzenie niczym w nowo odkrytej krainie. Były tam mapy, globusy, szkielety, mikroskopy inne cuda z klas biologicznych, roło się od stert tablic, pudełek z kredami, arkuszy papieru oraz zeszytów, książek, farbek, mazaków,

kredek, wskaźników, piłek i wszelkiego innego sprzętu przydatnego w szkole. Zwiedzali, szperali i posuwali się coraz dalej, a przy tym zdawało się im, że są bohaterami jakiegoś przygodowego filmu. Młodzi odkrywcy bawili tam prawie dwie godziny, gdy Mati w końcu postanowił pójść na lekcje bo bał się, że jego rodzice dowiedzą się o tych wagarach. Szymon został tam sam i rzeczywiście, nie mając samemu co robić, wziął się za naukę na sprawdzian z geografii, w czym pomagały mu niektóre z odnalezionych przedmiotów, przyczyniając się do tego, że jego tajemne studia całkiem go pochłoneły. Choć miał zamiar wrócić na trzecią lekcję, został tam już do końca zajęć, spędzając czas w ciszy, oraz spokoju, gdzie cały szkolny harmider, docierał tam tylko już jako nikły szmer.

- Zabieraj mi to stąd! I telewizję normalną włącz, a nie te głupoty! - Ojcu Mateusza nie podobała się zabawa syna w układanie domina i kart na stole, z których tworzył tam różne budowle, ciekawe obiekty i ścieżki. Dzieciak już po raz kolejny oglądał przy okazji Gunnisa, którego włączył z kasety video, lecz teraz musiał to wszystko przerwać. Niechętnie lecz w ciszy spełnił polecenia taty, po czym na chwilę oglądał z nim coś co pojawiło się na ekranie. Jakiś facet w garniturze, mówił dość powoli i chyba po polsku, lecz chłopak kompletnie go nie mógł zrozumieć. Z jego wyrazu twarzy, można było wywnioskować, że to coś ważnego lecz w uszach Matiego brzmiało to jak zupełny bełkot. Ojciec również wyglądał jakby niewiele z tego rozumiał i

przybrał minę jakby ktoś mówił do niego w obcym języku, a jego brwi poruszały się w nerwowym tiku. „To na pewno jakiś polityk czy coś...” – myślał chłopiec – „oni tak zawsze, całkiem bez sensu gadają”. Szybko znudzony postanowił wyjść z pomieszczenia, lecz ojciec mu nie pozwolił.

- Gdzie idziesz? Posłuchaj trochę jak panowie rozmawiają. To jest o ważnych sprawach...

- Muszę to oglądać? – zapytał zniechęcony syn.

- Tak – odpowiedział z uporem mężczyzna.

Ten człowiek nie często bywał pogodny. Jego zachmurzona twarz, tylko czasami zdradzała nikłe oznaki szczęścia i można powiedzieć, że było to tylko dwa, albo najwyżej pięć procent jego całego obycia. Pracował jako majster w ślusarni, mieszczącej się w jednej z hal, na terenie gdzie znajdowała się kiedyś spora fabryka, a od kilku lat, po jej zamknięciu tylko jakaś jej część była wykorzystywana i wynajmowana przez różnych przedsiębiorców gdzie prowadzili swe działalności. Janusz Kubiak, pracował tam jeszcze w czasach gdy cała fabryka była państwowa i pozostał po prostu na swym stanowisku, kiedy ślusarnia przeszła w prywatne ręce. Często powtarzał, że marnuje tam swoje życie i niemal codziennie wracał do domu przybity i zdenerwowany. Kiedyś, w latach młodości miał swe

zapędy oraz marzenia by zostać nauczycielem lub naukowcem, lecz nigdy nie udało mu się ich urzeczywistnić. Jego rodzice, wprowadziwszy się do Potoku po wojnie skierowali go w tą stronę, tłumacząc mu że musi wybrać coś praktycznego z czego w przyszłości utrzyma rodzinę i kiedy nadszedł moment gdy musiał obrać swój zawód, miał w głowie coś zupełnie innego niż ślusarstwo, lecz biernie poddał się presji rodziny i własnej niefrasobliwości. Kiedy jeszcze się uczył, bardzo podziwiał swych profesorów i zawsze go zastanawiało jakby to było być jednym z nich. Jako dziecko najchętniej bawił się w szkołę i miał to do siebie, że lubił wszystkich pouczać. Stąd małe grono przyjaciół, gdyż mimowolnie chciał instruować, każdego wokół, a mało kto lubi takie praktyki. Gdyby stał się tym kim chciał zawsze być, to pewnie znalazł by ujście swoich ambicji u uczniów, którzy chętnie albo poprostu z przymusu, musieliby słuchać jego wykładów. Poza tym miałby wielu kolegów takich jak on, z którymi na pewno znalazłby wspólny język. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie kształcił się na magistra, a teraz uważał, że jest już na to za późno.

Jego życiowe niezadowolenie, odbijało się na rodzinie, która musiała znosić charakter jej głowy. Żona, po wspólnie spędzonych latach, chyba zdołała się przyzwyczaić, choć może jej zbyt skromność i cichość wynikały właśnie z tej sytuacji, iż musi znosić humory i nerwy męża, gdyż kiedyś potrafiła być bardziej otwarta, a wielu twierdziło, że z biegiem czasu zaczęło

znikać z niej życie. Mała Anitka – siostrzyczka Matiego, niewiele mogła zrozumieć z otaczających ją okoliczności, gdyż miała tylko trzy lata i osiem miesięcy i trochę później niż inne dzieci, dopiero zaczynała cokolwiek mówić. Dziewczynka zdawała się być całym światem dla mamy. W niej znajdowała szczęście i ukojenie trosk. Oddawała jej prawie cały swój czas, troszcząc się o pociechę, jednak surowy małżonek to właśnie ją najbardziej obwiniał o to, że ich jedyna córka, rozwijała się wolniej niż inne dzieci. Uważał, iż jej metody ogłupiają dziewczynkę i krytykował wciąż niemal wszystko co z nią czyniła. Kobieta nie była osobą wykształconą i nie potrafiła argumentować swych racji tak jak jej mąż, ale starała się jak tylko mogła najlepiej dbać o swoje pociechy. Po niezliczonych uwagach prawionych w jej stronę przez współmałżonka, zastanawiała się jednak czasami, czy może jednak naprawdę nie szkodzi jakoś swojej córeczce, martwiąc się o jej przyszłość. Uspakajali ją bliscy, oraz lekarze, zapewniając, że z dzieckiem jest wszystko w porządku i że to nie jest odosobniony przypadek, gdy rozwój wymowy nadchodzi troszeczkę później. Twierdzili też oni, że takie dzieci w pewnym momencie w niezwykłym tempie potrafią nadgonić swe zaległości, a nawet wyjść ponad przeciętność i zacząć odznaczać się wyższą niż rówieśnicy inteligencją. Kobietę uspokajały po części te zapewnienia, lecz mimo to, robiła też wszystko co mogła, by pomóc córeczce w rozwoju. Prawie cały swój dzień poświęcała Anitce, niestety w ten właśnie sposób Mateusz mógł poczuć się odrzucony. Dbала o niego i darzyła, chłodniejszą, lecz

dalej matczyną miłością, jednak nie znajdowała zbyt wiele chwil, które mogłaby poświęcić synkowi. Chłopak, rozumiał jej troskę i kochał ją bardzo tak jak też swoją młodszą siostrzyczkę, o którą również się martwił i nie okazywał im żalu o to, że został na drugim planie. Jedynie coś bardzo głęboko utkwione w sercu, drażniło go w niektórych dniach. Raczej nie zdawał sobie sprawy, skąd i dlaczego pojawiał się w nim dziwny smutek, który w niektórych momentach gnębił przez jakiś czas chłopca. Ktoś z boku, powiedziałaby jednak, że temu jedenastolatkowi potrzeba ciut więcej miłości, oraz uwagi, których nie dawał mu ojciec i przez to wszystko też matka. Choć sam czuł się już duży, był jednak wciąż tylko dzieckiem i miał takie same potrzeby jak wszystkie inne dzieci.

- Mogę już iść? - zapytał ojca Mateusz, po wielu, ciągnących się w nieskończoność minutach.

- No idź - odpowiedział surowo tata - ale przynieś mi tutaj zaraz, zadanie domowe do sprawdzenia.

Chłopak z lekko skrzywioną miną, powłóczył nogami do swojego pokoju po tornister. Gdy przyszedł z powrotem, wyciągnął zeszyty i kolejno pokazywał je tacie. Ten sprawdzał wszystko uważnie i zwracał uwagę na najmniejsze szczegóły. Nawet gdy wszystko miał zrobione dobrze, obrywało mu się za nazbyt koślawe pismo lub brak marginesów. Ojciec nie chciał pozwolić

by jego syn tak jak on, skończył bez wykształcenia. Za wszelką cenę pragnął, by stał się on kimś ważnym, a nawet wielkim i w ten sposób próbował spełnić swoje własne ambicje. Przykładał olbrzymią wagę do jego nauki, nie zdając sprawy iż bardzo przy tym przesadzał, co mogło nieść ze sobą całkiem odwrotne skutki. Nie można było powiedzieć, iż nie poświęcał on swemu synowi uwagi, lecz to nie takiej uwagi chciałby dostawać od niego Mateusz. Tata, zupełnie nie troszczył się o to czym tak naprawdę interesował się chłopak. Nie pytał go nigdy o zwykłe sprawy i ich relacje, przybrały wręcz urzędowego oddźwięku. W ten sposób ten młody człowiek, czuł skrępowanie i dystans, do swego własnego ojca. Bał się mu o cokolwiek powiedzieć, a stan ten pogłębiał się z każdym dniem.

Po długim sprawdzaniu lekcji Mateusz, w końcu mógł odejść, dostając wiele poleceń i uwag odnośnie swojej nauki. Przez prawie półtorej godziny, wypełniał nakazy ojca. Potem pobawił się chwilę z Anitką, zjadł zimny kisiel, a po posiłku wyjrzał przez okno by sprawdzić, czy u Szymona w pokoju jest zapalone światło. Zauważywszy, że tak, postanowił wyjść z domu by porozmawiać z kolegą. Ich mieszkania oddalone były od siebie zaledwie o jakieś niecałe trzydzieści metrów i czasem, choć musząc robić to głośno by się usłyszeć, gadali ze sobą przez okna, pokazywali znaki lub sprawdzali czy drugi jest w domu. Mateusz mieszkał w jednej z Kamienic przyległych do ulicy 4-go Maja, natomiast Szymon w szeregu zastępczych bloków,

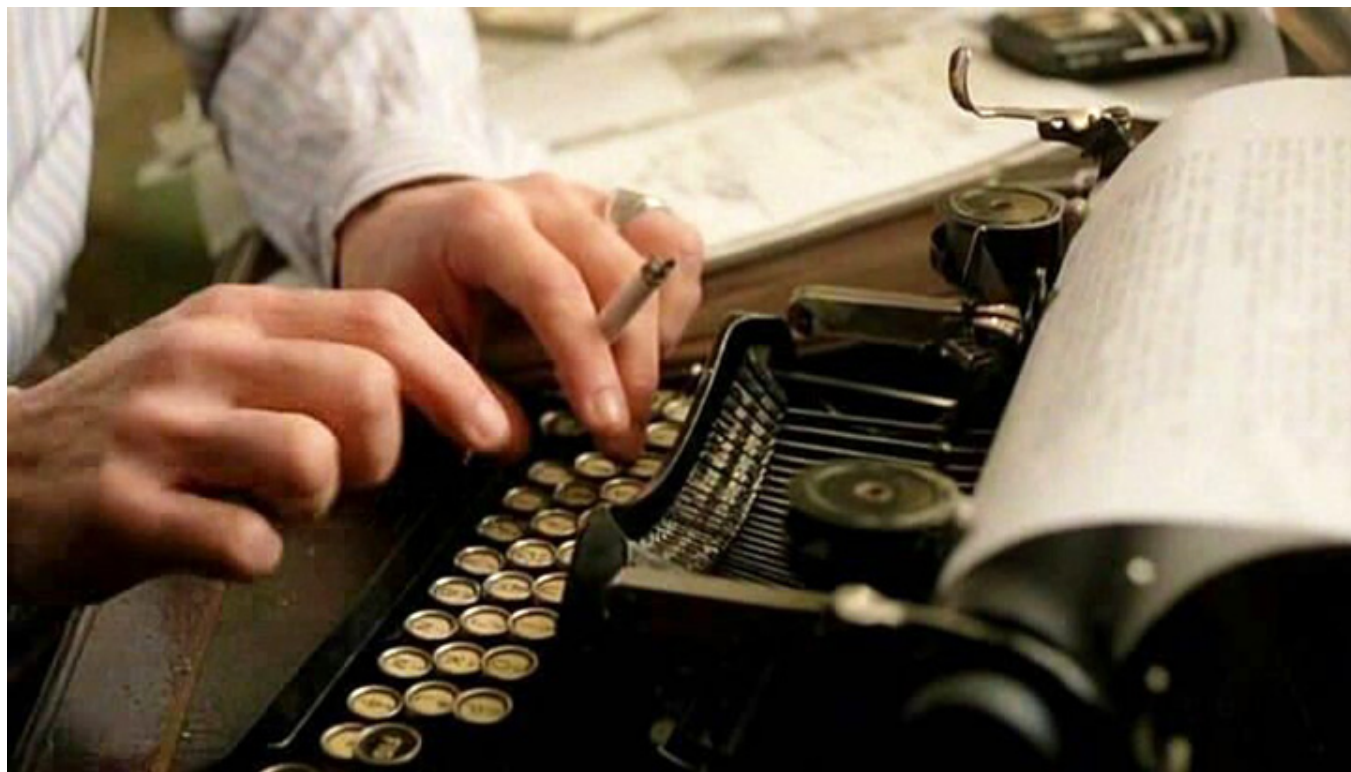
schowanych za nimi z tyłu. Do tamtych skromnych, jednopiętrowych budynków, prowadziły, utwardzone szosy bez asfaltowej nawierzchni. Był to solidnie ubity piasek, na którym, po obfitym deszczu tworzyło się wiele kałuż. Oprócz tego, od ich budynków, dzielił ich jeszcze trawnik, trzepak i piaskownica, a poza tym kilka linek na pranie, przyczepionych do drągów lub płotów, na których gdzieś tam wisiały czyjeś koszule, skarpetki lub spodnie.

Fragment powieści dla młodzieży „Łobuzy”, której akcja dzieje się na Pomorzu w latach 90. Książka już wkrótce będzie dostępna we wszystkich polskich księgarniach internetowych lub bezpośrednio od autora: www.stylistuff.net

W piątek 30 sierpnia ukaże się rozmowa z autorem - muzykiem z Irlandii.

Szelest srebra.

O rzetelności „Wyboru wierszy” Wacława Iwaniuka.



Marian Czuchnowski

Rocznik 1913 wydał trzech wybitnych i bardzo różniących się

między sobą pisarzy: **Wacława Iwaniuka**, **Jan Bolesława Ożoga** i **Jana Bielatowicza**. Z nich trzech Bielatowicz pozostał wierny prozie tak krytyczno-eseistycznej, jak i beletrystycznej. Ożóg odrobił zaległości prozaiczne sowicie, a tylko Iwaniuk pozostał poetą czystym, choć ogłosił kilka przepysznych urywków prozy.

Autor „Wyboru wierszy” urodził się w Chełmie Lubelskim i tam ukończył szkołę średnią. Potem studiował na wydziale Prawno-Ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Był poetą wyjątkowo fachowo przygotowanym do znajomości problemów emigracji bo studiował przed wojną właśnie sprawy emigracyjno-kolonialne, co też zaraz wykorzystał po ukończeniu studiów udając się w r. 1939 do Argentyny, aby – gdy wojna niemiłosiernie wzięła w swe ręce nasze osobiste dzieje – przyjechać na głos sumienia do Anglii i wziąć w jej pożarze udział aż do końca w Europie. Po wojnie osiadł i zamieszkał w Toronto.

Te wiersze w tomie, w każdym razie ich większość powstała w Kanadzie. Iwaniuk debiutował w 1933 r. W głośnym i bardzo dla poezji zasłużonym piśmie wydawanym w jego rodzinnym mieście, w miesięczniku „Kamena” redagowanym przez starszego od Iwaniuka o 16 lat poetę Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, ogłaszał swe liryki od 1933 do 1939 roku.

Pierwszy poemat „Pełnia czerwca” wydał nakładem grupy literackiej „Wołyń” w Chełmie. Od tego czasu wyszło wiele tomów poezji Iwaniuka w Warszawie, Londynie, Brukseli i w Paryżu. „Wybór wierszy” jest podręczną antologią pracy poetyckiej ostatnich kilkunastu lat.

Najlepszym kluczem do otwarcia tego wyboru jest końcowy utwór „Post scriptum” (s. 104):

Chciałem opisać dzisiejszą planetę gdzie ocaleni wolno
przychodzą do siebie.

Jasno i zwięźle.

Tom składa się z 52 tytułów. Wszystkie utwory zawierają jakiś poetycki sekret. Osią ich, a raczej stosem pacierzowym jest odpowiedź na 52 pytania, które zadaje sobie codziennie każdy rozumny człowiek, ale odpowiedzieć na nie artystycznie może tylko poeta. Iwaniuk jest rzetelnym artystą i odpowiadając na sekrety bytu i sensu bytu lub jego bez-sensu jakby to słowo zapisał Norwid, używa nowoczesnych w naszej własnej epoce wyrobionych narzędzi. Nie sposób ich wyliczać. Trzeba przeczytać tom, a ukazać się one czytelnikowi w całym bogactwie w najbardziej wyrafinowanych i pokrętnych jak anteny telewizyjne do zdumiewająco prostych. Tom złożony, gabinet

chirurgiczny, liryka łśni niepokalaną czystością. Można te utwory tłumaczyć na francuski czy angielski i nie zgubią pierwotnej formy. To wielki przymiot artysty -Iwaniuka.

Sprawny rytm, całkowita nieobecność banału mechanicznego rymowania, zdania różnorodne, nie tylko proste, ale także skomplikowane jak szlachetna skorupa winniczka skrytego na pół w mokrym szmaragdzie mchu i na pół draśnięta słońcem. Obfitość form wyróżnia ten zbiór w sposób wyśmienity od wielu innych tomów wydanych przez innych poetów, a także całkowity brak szablonu. O tej rzetelności i odwadze intelektualnej świadczy również kilka utworów, w których świadomie i zgodnie z literą i duchem epoki przywiązuje swe staranne wersy do nazwisk-sztandarów w filozofii i współczesnej psychologii. Takich utworów jak „z Freuda”, „z Sartre’a”, „Z Kierkegaarda”. Nie ukrywa tych sztandarów, ani kluczy filozoficznych, źródeł zainteresowań poza-poetyckich, lektur.

Jest w tym tomie więc dokładnie określony stosunek Iwaniuka do nowoczesnej filozofii, do nowoczesnego malarstwa i nauki. A wszystko czyni czystym piórem czy smaczными nowymi czcionkami Remingtona. Gdyby tylko ocalały z nich za lat 50 trzy krótkie liryki „Akt” (s. 35), „O narastaniu życia” (s. 42), „Onegdaj” (s. 83), to wybór ten jest już znakomity prze to samo. A ocaleje więcej niż trzy liryki.

Między wojnami wielu znakomitych poetów unikało tego co krótko, choć nie całkiem ściśle, można nazwać spięciem filozoficznym w poezji, słusznie się obawiając nieszczęsnego banału. Bogate doświadczenia w dziewiętnastowiecznej przeszłości odpychały ich od dość pospolitego błędu wielu poetów refleksyjnych. Wiadomo było, że kogo opuściła wyobraźnia i uczucie, uciekał w filozofię. Jak nieszczęściem samolotu i prowadzącego go pilota są dziury w powietrzu, tak dla większości filozofujących poetów były dziury intelektualne, w które zapadała się po latach połowa ich utworów lirycznych. I już się nie wydobywała potem z ich zapadni.

Dzisiaj nowa silnie zbliżona do radarowej tarczy liryka współczesna potrafi uchwycić dokładniej myśl i inspirację wyobraźni w zdanie oczyszczone starannie z dłużyzn, niepoetyckich materiałów, łatwizny wielkich słów pisanych od dużej litery używanych nie tak dawno do odkrycia rzeczy na ogół pospolitych. To duży postęp w liryce awangardowej.

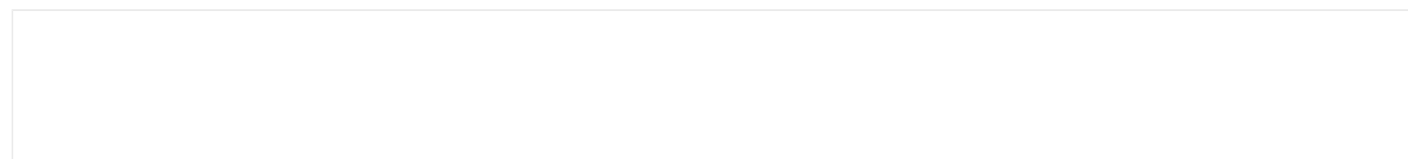
Alfred Adler, Jung, awangardziści i ich wybitni uczniowie mogliby dać na warsztat w seminarium uniwersyteckim te wszystkie wiersze Iwaniuka i potem powstałaby z rozbiorów interesująca praca naukowa. Jakże niezwykle cieszyłby się wierszem Iwaniuka „Z Kierkegaarda” Stefan Kołaczkowski, wychowanek Heidelbergu, który złotą chłodną jak chryzantemy i jak one kruchą jesienią 1927 r. wtykał mi tego rozpaczliwego

Duńczyka po niemiecku z uporem naukowca a ja właśnie czytałem z rozkoszą wspaniałą powieść jego rodaka J.P. Jacobsena „Niels Lyhne” przełożoną przez Marię Dąbrowską. Dopiero potem dobrałem się do pesymistycznego pastora Soerena Kierkegaarda. W polskim, wciąż stojącym w ruinach Verdun, głośnych Gorlicach.

Wychowani na niemieckich uniwersytetach przed pierwszą wojną światową polscy neokantyści psuli nas doszczętnie ciemną tragedią istnienia i esejami zwłaszcza założyciela filozofii egzystencjalistycznej Martina Heideggera, inwentora fenomenologii Edmunda Husserla no i mądrego Duńczyka Soerena Kierkegaarda. A my kochaliśmy naszego przyjaciela Leona Chwistka, nie tylko dlatego, że pił z nami kawę, ale że był zwawym autorem genialnego eseju „Wielość rzeczywistości”. Na tę filozoficzną zaprawę chemiczną „Wyboru wierszy” Iwaniuka chciałem zwrócić uwagę, bo tak trzeba pisać nowe wiersze. Czym są jeszcze te utwory? Cichym pełnym powietrza składem pięknej polskiej mowy, zbiorem, świeżego jak wilgotne maliny, dojrzałego języka poetyckiego. Dowodem upartej walki intelektualnej o prawo do istnienia, potwierdzeniem sensu istnienia. Są jak szelest srebra w źródle.

Wacław Iwaniuk. Wybór wierszy, stron 106 plus 4 nlb. Na stronie otwierającej portret autora wykonany piórkiem i podpisany przez rysownika kleksem nie do odcyfrowania. Instytut Literacki. Paryż 1965.

Artykuł ukazał się w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” w Londynie, 22.9.1965.

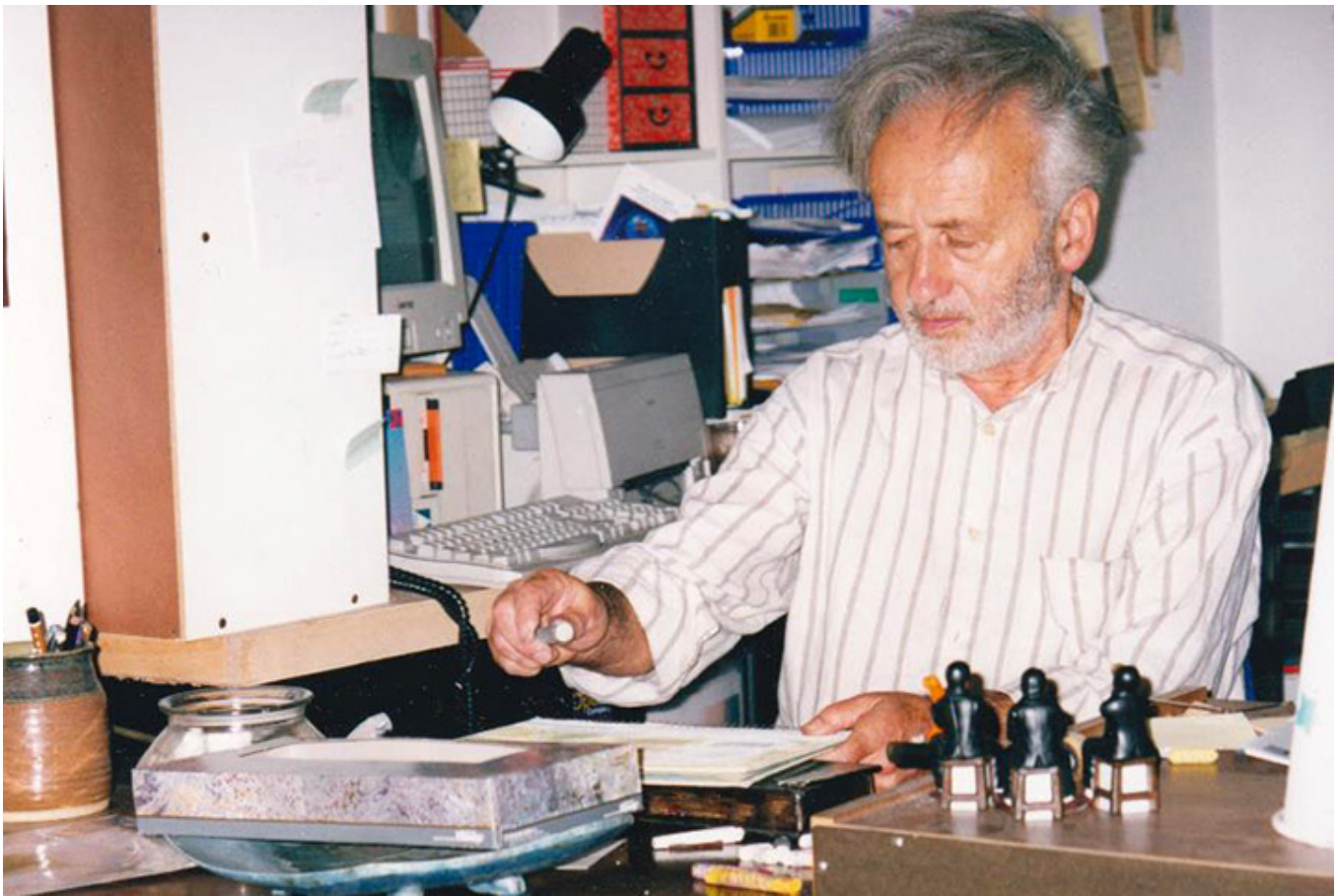


O Marianie Czuchnowskim wspomnienie Floriana Śmieji:

<https://www.cultureave.com/poezja-na-emigracji/>

Wiliam Markiewicz –

malarz, dziennikarz, wydawca.



Wilek Markiewicz przy pracy, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

Edward Zyman (*Kanada*)

Nie miał sztabu ludzi, rozbudowanej administracji, komisji

rewizyjnej, rekwizytorów, słowem normalnego zaplecza związanego z funkcjonowaniem każdego wydawnictwa. Był praktycznie sam: autor artykułów, redaktor techniczny i merytoryczny, kolporter. Pismo, które wydawał nie stanowiło konkurencji dla „potentatów” w rodzaju „Głosu Polskiego”, „Związkowca” czy najmłodszego wówczas spośród polonijnych pism torontońskich – „Echa Tygodnia”. Nie mogło konkurować z nimi ilością kolumn, ani wysokością nakładu. Nie było na tyle zamożne, by w sposób radykalny mogło zmienić swą sytuację, rozwijając sieć współpracowników, modernizując technikę wydawania, zwiększając objętość i nakład. Mimo tych trudności i ograniczeń było na polonijnym rynku wydawniczym w Kanadzie (i nie tylko) swoistym fenomenem. Przez wiele lat z zadziwiającą regularnością docierało co dwa tygodnie do rąk czytelników, wśród których miało oddanych i wiernych przyjaciół.

Myślę, że po tym krótkim wstępie, domyślicie już Państwo łatwo, że tekst, który czytacie dotyczy „Kurieru Polsko-Kanadyjskiego”, a konkretniej jego redaktora i wydawcy – Wiliama Markiewicza.

Jest zastanawiającą regułą, że nasza wiedza o ludziach, z których działalnością spotykamy się na co dzień, którzy wytrwałością i talentem przebili się przez mur animowej codzienności, których wreszcie efekty pracy służą nam wszystkim jako środowisku od lat – wiemy tak niewiele. Bo właściwie co przeciętnemu czytelnikowi polonijnej prasy kojarzyć się może z nazwiskiem

redaktora i wydawcy „Kuriera”? Najwyżej dwie rzeczy: kilkunastoletnie redagowanie przezeń kolumny etnicznej w „Toronto Sun” i artykuł dr Andrzeja Pawłowskiego, który w swoim czasie na łamach „Związkowca” przedstawił malarskie zainteresowania bohatera naszego reportażu. A jeśli tak, to powiedzmy sobie szczerze – nie jest to portret pełny ani prawdziwy. Brak w nim wielu danych, które mogą przybliżyć tego skromnego, unikającego rozgłosu, a przecież tak fascynującego człowieka.



Wilek Markiewicz (z prawej) i Mirosław Supruniuk z „Kurierem Polsko-Kanadyjskim” w Archiwum Emigracji w Toruniu, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

Wyjechał z Polski jako chłopiec. Potem były: matura polska uzyskana w małej miejscowości pod Paryżem, studia biologiczne na uniwersytecie genewskim, praca w instytucie zootechniki we Francji. Od początku interesowała go twórczość, pracy badawczej poświęcał więc – mimo sugestii profesora, który wiązał z nim spore nadzieje – stosunkowo mało uwagi. Miast ślęczyć w pracowni nad żmudnymi analizami wybrał wolność artysty. Paryż ciągnął go jak magnes. Tu znalazł to wszystko, co dawało mu poczucie niczym nie skrepowanej swobody i pełnej podmiotowości. Pracując dorywczo w najbardziej nieprawdopodobnych zawodach, większość swego czasu poświęcał malarstwu i – jak mówi – „pisaniu do szuflady”. Gdy pytam go, co sprawiło, że wiedzę konkretną porzucił na rzecz sztuki odpowiada po prostu: nie miałem nigdy temperamentu naukowca.

W Paryżu nawiązuje liczne znajomości i przyjaźnie z tamtejszym środowiskiem artystycznym głównie malarskim. Zaczyna się w rysunku, by następnie, zupełnie przypadkowo, pod wpływem kolegów, przejść do malowania. Okazało się, że jego wprawki wielu znawcom wydały się interesujące. Z czasem bierze udział w niemal wszystkich salonach paryskich, krytyka poświęca mu coraz więcej uwagi, otrzymuje pierwsze propozycje z głośnych i renomowanych galerii. Wszystko to jednak trwa w jego odczuciu zbyt długo. Jest niecierpliwy, pragnie gwałtownej odmiany. Podejmuje decyzję o wyjeździe z Francji. Przez krótką chwilę

myśli o Japonii, ostatecznie jednak ląduje w Kanadzie.

Nim jednak przejdziemy do przedstawienia jego długotrwałego epizodu kanadyjskiego, pozostanmy jeszcze przez moment przy malarstwie. Pytam mego rozmówcę o jego stosunek do uprawianej przezeń twórczości, o nurty i tradycje, które uważa za własne, o twórców, których mógłby nazwać swoimi mistrzami. W odpowiedzi pada wspomniana przez któregoś z krytyków francuskich opinia, że jego malarstwo w mniejszym stopniu jest formą poszukiwań graficznych, w zdecydowanie większym natomiast stanowi pewien rodzaj poezji wyrażonej pędzlem. Zgadazając się z tym, wydawca „Kuriera” mówi, iż bardziej czuje się poetą malarstwa niż rzeczywistym malarzem. Jeśli chodzi o tradycję – lubi sztukę epok odległych. Dotyczy to nie tylko malarstwa. – Dla mnie – mówi – muzyka skończyła się gdzieś na baroku, architektura – na wczesnym gotyku, literatura też nie ma wiele wspólnego z awangardą. Fascynuje się malarstwem El Greca, Hieronima Boscha, choć w tym co robi stara się być przede wszystkim sobą. W sztuce szuka metafizyki i tajemniczości. Uważa, że pierwiastki jednego i drugiego ukryte są wokół nas, sztuka ma je wydobyć. W tym sensie jest twórcą realistycznym.

Malarstwo dostarcza mu wielu satysfakcji i drobnych funduszy. Jest wystawiany w kilku galeriach, sprzedaje, otrzymuje zamówienia. Gdy był już w Kanadzie nadeszła z Paryża oferta

jednej z najbardziej renomowanych galerii francuskich, która zainteresowała się jego malarstwem. Odległość pokrzyżowała nieco plany, a być może – stwierdza z uśmiechem – była to okazja życia.



Tyle o malarstwie, przejdźmy teraz do literatury. W 1967 roku W. Markiewicz pisze po francusku i przetłumaczywszy przy pomocy żony, rodowitej Hiszpanki, na hiszpański – wydaje w Madrycie w serii dreszczowców dużą nowelę pt. *Kanibale duszy*. W tym samym czasie, a także nieco później ukazują się jego artykuły, opowiadania i szkice w prasie szwajcarskiej i

francuskiej.

Po przyjeździe do Toronto rozpoczyna ożywioną współpracę z pismami etnicznymi. Przez krótki czas jest związany z „Głosem Polskim” (okres redaktorów Wyrzykowskiego i Rusinka). Drukuje w języku francuskim, hiszpańskim i angielskim. Rozpoczyna trwającą trzynaście lat współpracę z „Toronto Sun”, gdzie redaguje kolumnę etniczną. Z tego co mówi, zakończył tę współpracę bez specjalnych sentymentów. Był to wysiłek ponad jego siły, zwłaszcza, że równolegle redagował i wydawał własne pismo. Nawiasem mówiąc pomysł wydawania „Kurier” zaczerpnął z prasy etnicznej właśnie, dokładnie z francuskiego „Kurier Południowego”. Początki były bardzo trudne. Mój rozmówca nie chce specjalnie rozwijać tego tematu. Uważa, że wystarczy, jeśli stwierdzi, że prócz ogromnego wysiłku, pokonywania normalnych barier związanych z każdym debiutem, nie brakowało przejawów ludzkiej złośliwości i nieżyczliwości, płaskich pomówień i intryg. W pewnym momencie „Kurier” odczuł to bardzo poważnie, był nawet zagrożony. W sumie jednak zwyciężyli czytelnicy, którzy nie opuścili swego pisma w najtrudniejszych dla niego momentach.

Skoro już jesteśmy przy piśmie, pytam jego redaktora i wydawcę, czy wie jak wyobrażają sobie „kuchnię” „Kurier” jego czytelnicy? Czy wiedzą, jak to się dzieje, że gazeta redagowana przez jedną osobę, przynosi tak interesujący i żywy serwis

informacyjny z całego świata, który jest swoistego rodzaju pigułką zawierającą wszystkie istotne treści, jakimi żyje współczesny Polak na emigracji.

The Toronto Sun, Wednesday, July 19,

THE ETHNIC PRESS

by William Markiewicz



Echo, the monthly of young Polish Canadians believes that the abandonment of traditional cultural values left the individual "not only homeless, but without any focal point of existence". The paper also believes that ethnic co-operation will keep the English and the French "from each others throats", and the realization by both dominant groups of the existence of other cultural forces may be a tool to preserve the unity of Canada.

• • •

Związkowiec welcomes Manpower and Immigration Minister Mackasey's liberalisation of immigration laws. The paper says that no norms may be "good" if applied too rigidly, and says the Anglo-Saxon immigrant will automatically have more "points" because of his knowledge of English.

• • •

Nase Novine considers that Canada needs a new constitution, independent from its British model. The paper says also that Canada needs more independence from the big American corporations.

• • •

Głos Polski considers that Nixon's visit to Moscow, despite its theatrical effects, doesn't hide the fact that World War III began long ago, in Vietnam; at the Eastern Mediterranean coasts and in the Persian Gulf, and may or may not be a prelude to World War IV.

• • •

Czas, on the contrary, sees a tendency towards stability on the world scene for the years ahead. The paper says that all countries must accept — willingly or not — the balance of power and diplomats must take the initiative, not the armies.

• • •

La Voce Della Domenica speaks in defence of . . . Anglo-Saxons. The paper wonders what difficulties are brought by a mass of immigrants to the daily life of the "phlegmatic, silent, ordered and compassionate" Anglo-Saxon. The paper also notes that there are over 5 million Italian immigrants all over the world and 900,000 of them are in Canada.

• • •

Związkowiec says that Spain is not as militaristic as the world believes. The paper says that Spain's army is apolitical and doesn't take part in the governing of the country. A Spaniard pays only \$19

The evolution of separatism

DOUGLAS FISHER



It was hard to believe that the bitter, passionate writer of White Niggers of America had once been hired as an editor of the influential magazine, Cite Libre, by Pierre Trudeau. But readers, impressed by White Niggers who turn to Pierre Vallieres' newest book, Choose (Newpress, \$5.95) will discover why the renegade philosopher of the FLQ and the October crisis was once associated with the Prime Minister. Their writing dynamic and skills of argument are remarkably alike.

Of course, the lines of argument are different. In Mr. Trudeau's best essays of the early and mid-60s the case for federalism and against Quebec nationalism and independence is put with cool vehemence and sweeping arguments from law, history and political theory.

In Choose, Vallieres, the separatist, has Trudeau's kind of force and logic. He is seemingly impersonal (in contrast to his autobiography) but sharp with invective of ridicule and very direct example and exposition.

Vallieres, of course, is not addressing himself to the Trudeauans and the Liberals — "They, the dominant Canadian bourgeoisie and its clique of Quebec prison guards (mostly liberals, not in conviction but membership)."

His arguments

His arguments are, first, for his old comrades in the FLQ who believe in violence and guerrilla tactics in what they think to be a "revolutionary" situation.

Secondly, he addresses the "international theoreticians of the abstract", that is, the Marxist intellectuals in Quebec, who either deride nationalist sentiment or believe that its priority comes far back of the international class struggle.

Thirdly, he wants the organized people, "the labor centrals," to commit themselves to the Parti Quebecois of Rene Levesque, not to reject it as a middle-class party of opportunists.

Vallieres insists that the struggle for independence has priority over Marxist or other socialist goals and theories. In effect, Vallieres is now a man of moderation, making the kind of appeal to the radicals which some

New Democrats such as Walter Pitman have been making to the Waffle. Don't ruin the chances for a broadly based party of the people by too much theorizing, evangelical purity, and frightening talk.

Vallieres' explanation of why this is not the time for violence, bombs, cells and revolution sounds remarkably like the reasoning Pierre Trudeau put forward in 1964 when he lambasted "the separatist counter-revolutionaries" in Cite Libre.

Trudeau insisted that French Canadians had not exhausted the ways to use federalism for economic and cultural advance. These are some of Vallieres' arguments:

"You don't provoke the authority's army in the name of the people when you do not yourself possess an authentic people's army."

One of the "objective conditions . . . exist for a situation to be revolutionary and armed struggle to be necessary."

There is no "absolute incapacity on the part of the ruling authorities to satisfy popular aspirations and grievances."

"As long as the working class profits by the national policy or as long as it preserves the hope or the illusion of profit, it will support these policies . . ."

Quebec is not yet at the stage of "suppression of civil and democratic liberties." It is still possible that the "mass struggle may organize and develop within the electoral process, and, thus, a party of the masses may win political power in the elections."

It is easy for an Anglo outsider like me to exaggerate the significance of Vallieres' Choose as a political influence. But it is writing of great power and persuasion. Its publication by the publisher Newpress in English coincides with a paperback from the same firm. Danny Droche, a Toronto academic, has edited the manifestos of The Common Front, that is, the two labor centrals and the teachers' union in Quebec.

THE PICK OF Punch



Federalism ignored

Kolumna etniczna w „Toronto Sun”, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

- Nie, czytelnik raczej nie zdaje sobie z tego sprawy. Potwierdzają to listy, w których prosi się mnie często o rzeczy niewykonalne. Najmniejszej nawet korespondencji staram się jednak nie pozostawiać bez odpowiedzi, zwłaszcza, że mam czytelników głównie wśród emigracji starszej, dla których „Kurier” jest j e d y n y m przyjacielem. Doceniam to i staram

się być godnym tej przyjaźni.

Pan Markiewicz nie obawia się uchylić rąbka tajemnicy. Mówi, że materiał dla jego gazety stanowią wszystkie polonijne pisma świata, z których za zgodą wydawców przejmuje interesujące go informacje. Gdy pytam, dlaczego nie waha się o tym mówić, ujawniając tajniki warsztatu, stwierdza z ujmującą szczerością: nie uznaję tajemnic. Uważam, że skrywanie czegoś zawiera w sobie zarodek zła.

Nie obawia się konkurencji. Wręcz przeciwnie: jest otwarty na wszelką współpracę. Gdy pytam, czy gazeta, którą wydaje od wielu lat lubi go, odpowiada z uśmiechem, że chyba tak, choć jest to obustronnie trudna miłość. Bywa zmęczony. Pamięta chwile, gdy myślał poważnie o rezygnacji. W sumie jednak nie wyobraża sobie życia bez „Kuriera”. Jest jego wielką namiętnością i obowiązkiem, czymś co stwarza mu ukochaną przezeń wolność wypowiedzi i pozwala na kontaktowanie się z ludźmi. Wierzy głęboko, że jego ciężka, pełna wyrzeczeń praca jest im potrzebna.

Powoli zbliżamy się do finału. Taśma magnetofonowa przyjmuje co prawda jeszcze długo refleksje mego rozmówcy, ale pamiętając o cierpliwości czytelników „Głosu” pozostawiam je już poza artykułem. Nie sposób zresztą czyjegoś całego życia przedstawić w jednym, najdłuższym nawet artykule. Kończymy

więc spotkanie z człowiekiem, który mieszka wśród nas, urodził się w Polsce, pisze w języku francuskim, wydaje po hiszpańsku. Nie obcy jest mu także angielski, którym posługuje się w Kanadzie na co dzień, niemiecki, włoski, portugalski. Z człowiekiem tęskniącym za kulturą europejską, który jednakże ukochał nad życie Kanadę, będącą dlań symbolem wielorakich możliwości i swobody. Człowieka, który zafascynowany spekulacją naukową i futurologią, utrzymuje żywy kontakt z tym, co go otacza tu i teraz.

Przedstawiając czytelnikom „Głosu Polskiego” redaktora i wydawcę „Kuriera”, czynię to z przeświadczeniem, iż polonijny rynek czytelniczy w Toronto i Kanadzie jest na tyle chłonny, że znaleźć w nim może miejsce wiele pism, zwłaszcza tak różnych jak nasze. Mój rozmówca, sam będąc wiernym czytelnikiem „Głosu”, przypomina swoją własną maksymę, wedle której „im więcej nas na rynku, tym bardziej nas czytają”. Bardziej w znaczeniu uważniej, dokładniej, bo takie są konsekwencje możliwości wyboru. Jedna gazeta zachęca do czytania drugiej.

- To tak - mówi - jakby gościowi w restauracji podawali stale menu, w którym jest tylko jedno danie. Po pewnym czasie musiałoby mu się to znudzić. Gdy w karcie propozycji jest więcej, człowiek próbuje wszystkiego, staje się bardziej wybredny, poznaje różne kuchnie. Słowem jako konsument - rośnie. Podobnie jest z czytelnictwem.

Od autora po latach: Artykuł ukazał się w wielkanconym (13/14) numerze wychodzącego w Toronto „Głosu Polskiego” opatrzonym datą 2-16 kwietnia 1985 r., w cyklu „Ludzie naszego miasta”. Jako nowy redaktor pisma prezentowałem w nim interesujące, wyraziście obecne w środowisku polskiej diaspory postacie kultury, polityki, życia społecznego. William (Wilek) Markiewicz był jednym z jego bohaterów, choć w kontaktach codziennych jawił się jako człowiek wyjątkowo skromny, unikający rozgłosu, stroniący od taniej popularności. Używając dzisiejszego języka powiedzielibyśmy, że nie był celebrytą.

Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat. Jego prace były wielokrotnie prezentowane na łamach magazynu „Culture Avenue”.

Wywiad:

<https://www.cultureave.com/filozof-bytu/>

Dominikana 4 – 12 lutego 2000 r. Część II.

**Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami
polskiego iberysty**



Santo Domingo. Domy Królewskie.

Zygmunt Wojski

W piątek, 4 lutego, kolacja u Krysi Orłowskiej, a w sobotę, 5 lutego, przyjaciel polskich księży z **Los Alcarrizos**, miły pan Bogdan wiezie mnie do Latarni Morskiej Kolumba (*Faro a Colón*), wzniesionej we wschodniej części miasta **Santo Domingo** w 1992 roku. Mieści się tam Muzeum Ameryk i Mauzoleum Kolumba. Pan Bogdan kupuje mi na pamiątkę ozdobne gliniane lufki Indian Tainów w kształcie litery **Y** do wdychania przez oba otwory nosowe sproszkowanej rośliny halucynogennej o nazwie *Anadenanthera peregrina*. Te lufki wykonywane przez Indian z ptasich kości nosiły nazwę *tobago* i

teraz już wiemy, co oznacza nazwa własna wyspy **Tobago** w **Archipelagu Małych Antyli**.

65 km na wschód od **Santo Domingo**, piękna plaża **Juan Dolio**, z lasem smukłych palm kokosowych na brzegu. Kąpiel i powrót. Po drodze interesujący pomnik trzciny cukrowej (*Monumento a la caña de azúcar*): prowadzony przez woźnicę zaprzęg trzech par wołów ciągnie dwukołowy wóz wyładowany ściętą trzcina, a z tyłu idzie kobieta z płaskim koszem na głowie. Bardzo oryginalny i od razu przypominał mi pomniki wozu i dyliżansu z **Montevideo**, dość podobne.



Pomnik trzciny cukrowej.

Późnym popołudniem pani Ela Dycha i jej mąż Fernando zabierają mnie do **Santiago de los Caballeros**. Po drodze dowiaduję się, że najpierw będzie spotkanie u Hildy Melis, mojej znajomej Kubanki, która od lat w **Santiago** uczy gry na fortepianie. Jestem szczerze wzruszony wobec perspektywy spotkania jej po... 23 latach, wszak widzieliśmy się ostatni raz w **Hawanie** w 1977 roku. Tymczasem Hilda bardzo, ale to bardzo długo kąpie się w najlepsze, nie przejmując się nami zupełnie. W tym czasie podejmuje nas rozmową jej mąż Armando. Nie tak sobie wyobrażałem to spotkanie. Po kolacji u państwa Eli i Fernanda, Fernando odwozi mnie na nocleg do zagraconego pokoiku kolegi, gdzieś dość daleko od ich domu.

Niedziela, 6 lutego. Rano jedziemy na miejsce pierwszego miasta założonego przez Hiszpanów w Ameryce, **La Isabela**, 1493 roku. Jego ruiny znajdują się na północno-zachodnim wybrzeżu republiki, około 40 km od **Puerto Plata**. To tu odprawiona została w 1494 roku pierwsza msza katolicka. Żywot miasta był jednak krótki, choć przyczyn tej sytuacji źródła nie wymieniają w sposób jednoznaczny. Dzisiaj można tam zobaczyć wystające z czerwonej ziemi fundamenty zabudowań i tabliczki informujące, gdzie znajdował się dom Kolumba, gdzie kościół, a gdzie zamek, rozmaite składy, warsztaty, cmentarz... Obecny kościół, zwany Świątynią Ameryk, został wzniesiony całkiem niedawno, bo w 1994 roku.



Puerto Plata. Piękna muszla koncertowa.



Puerto Plata. Forteca św. Filipa.

W **Puerto Plata**, wielkim ośrodku turystycznym, gdzie są domy w stylu wiktoriańskim, najciekawszy jest hiszpański Zamek Świętego Filipa (*Castillo de San Felipe*) z 1577 roku, płaski, rozłożysty fort z armatami wycelowanymi w morze. Piękny widok roztacza się z jego murów. Za **Puerto Plata** zaczyna się **Bursztynowe Wybrzeże** (*Costa del Ámbar*) – dość wysokie góry, lasy palm kokosowych i turkus morza. 35 km na południowy wschód od **Puerto Plata**, miejscowość **Cabarete**, gdzie zatrzymujemy się na kąpiel w Oceanie. Zachmurzyło się, a powrót do **Santiago de los Caballeros** jakoś mocno się dłuży. Ostatni odcinek przemierzamy nocą. Przed powrotem do domu, podjeżdżamy pod wysoki Pomnik Bohaterów Restauracji

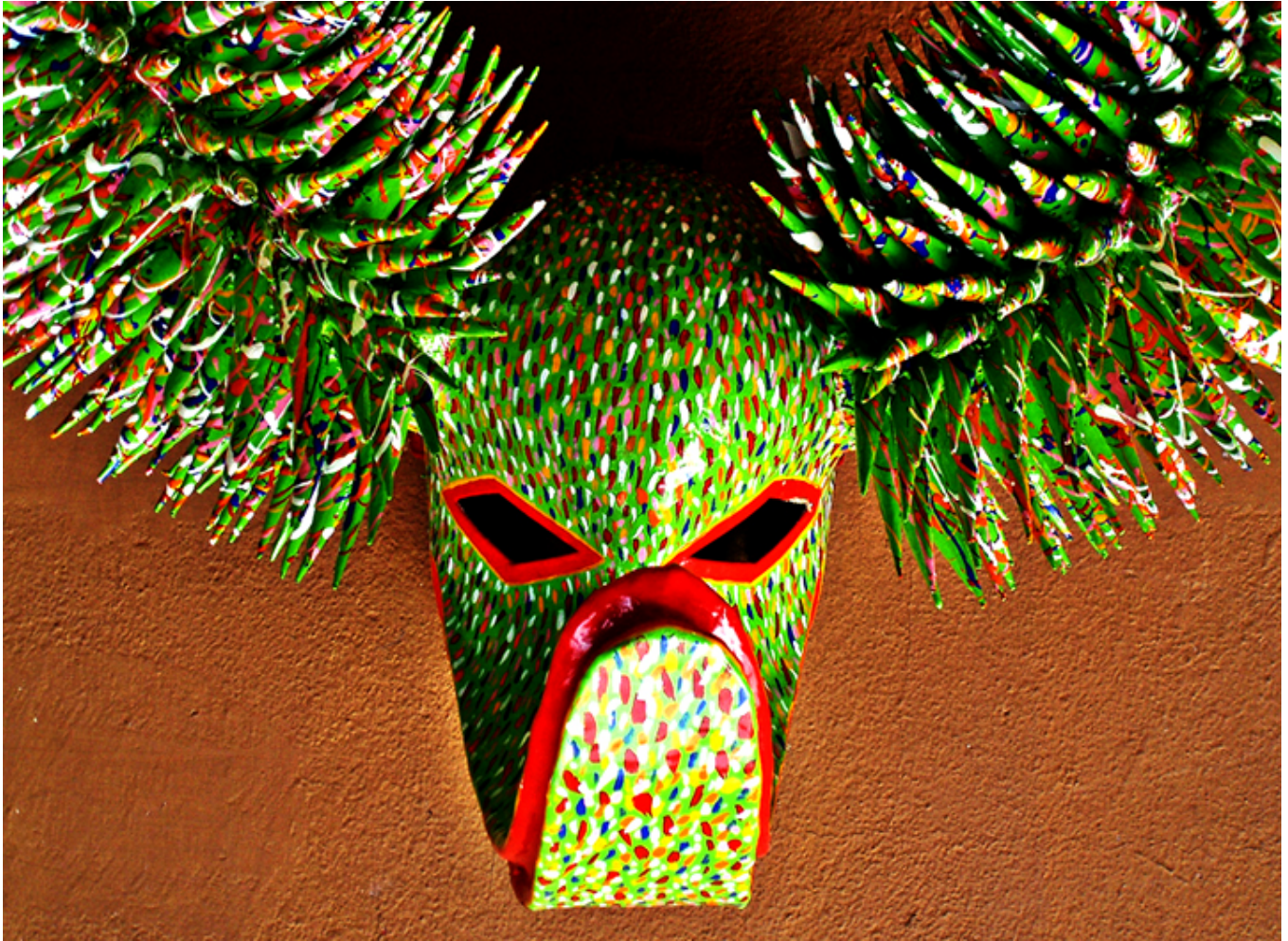
(ostatecznej Niepodległości Dominikany) z 1863 roku, wzniesiony w 1944 roku. Spod pomnika rozciąga się rozległy widok na miasto i okolice. U pani Eli i Fernanda pojawiają się Hilda Melis, jej mąż Armando i ich córka. Przyszli się pożegnać. Może trochę miłsza była dzisiaj ta Hilda.

Poniedziałek, 7 lutego.

Fernando kupuje mi dwie karnawałowe maski „*lechones*”, czyli karnawałowych przebierańców. Jedna dzielnica **Santiago** robi maski w kształcie głowy byka z płaskim dziobem jak u kaczki i gładkimi rogami, a druga, z rogami pokrytymi długimi kolcami i także z dziobem kaczki. W biurze podróży opłacam jeden nocleg w hotelu „Punta Cana Beach Resort”, z piątku na sobotę, za 65 dolarów USA. Kupuję cztery taśmy z tutejszym typowym rytmem *merengue*. Odwiedzam panią Elę w jej salonie z kosmetykami. Jeszcze wizyta na poczcie, skąd telefonujemy, pani Ela i ja do Ambasady RP w **Caracas** w sprawie paszportów polskich dla niej i synów. Jacek Perlin, ówczesny ambasador RP, od razu rozpoznał mój głos i spytał: „A co pan robi na Dominikanie?” Po południu powrót do **Santo Domingo**.



Lechones, czyli przebierańcy karnawałowi.



Maska karnawałowa. Santiago de los Caballeros.

Wtorek, 8 lutego.

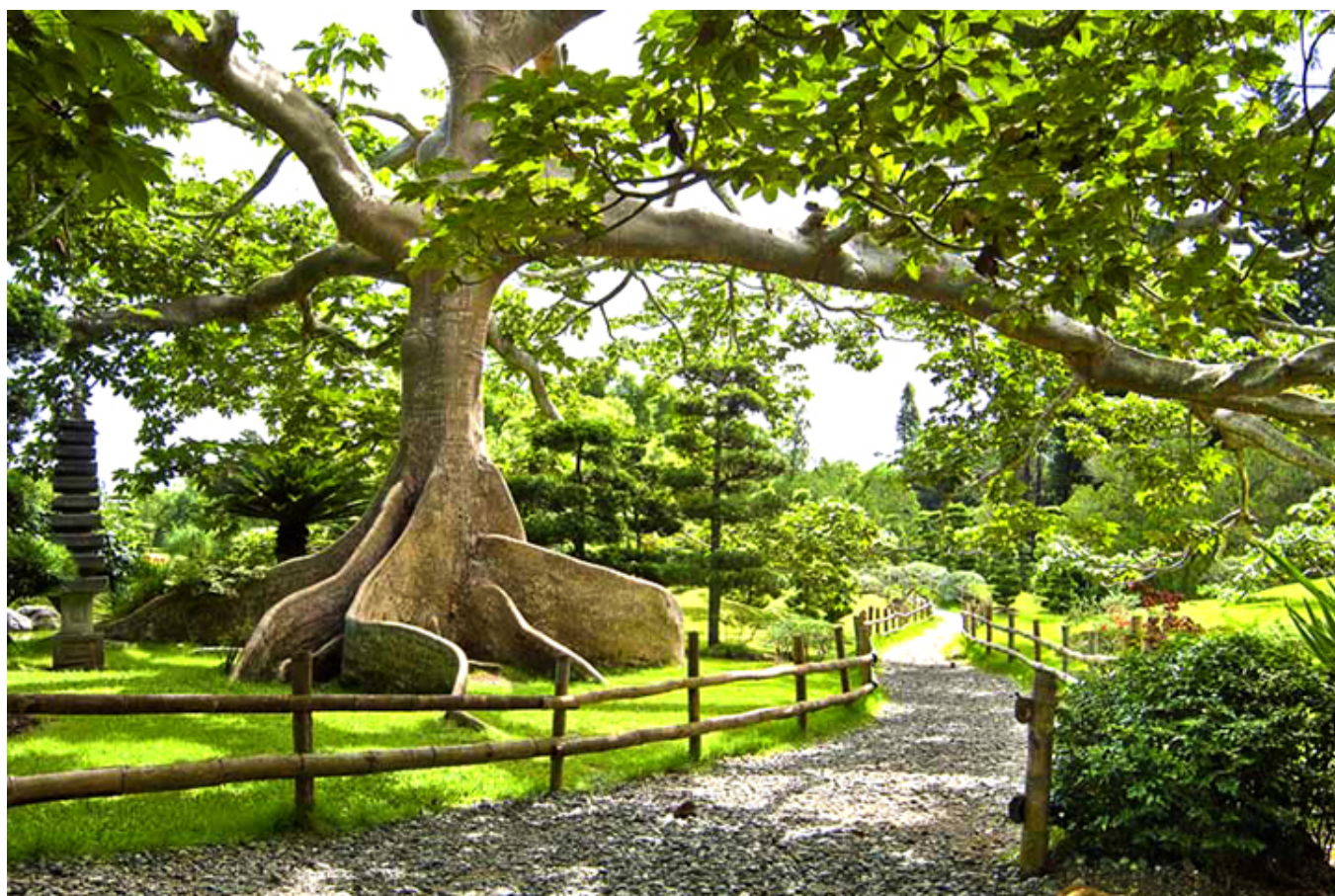
Wizyta w Domu Jezuitów (*Casa de los Jesuítas*) w dzielnicy kolonialnej. Spotkanie z panią dyrektorką mgr Elyzabeth Arzeno w sprawie publikacji, które mogłaby mi sprezentować. Potem Fundacja im. Oswalda Guayasamína (*Fundación Oswaldo Guayasamín*), jedna z trzech w Ameryce Łacińskiej, obok Fundacji w **Quito** i w **Hawanie**. Jedna z moich studentek pisze pracę magisterską o tym malarzu ekwadorskim i obiecałam jej materiały. Niewiele udało mi się zdobyć, ale zawsze. Wizyta u pani Zofii Jakowskiej.

Środa, 9 lutego.

O 10-tej rano spotkanie z doktorem Carlisle Gonzálezem, językoznawcą, na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Autonomicznego. Dostałem od niego kilka potrzebnych mi książek. W dzielnicy kolonialnej zwiedzam Muzeum Domów Królewskich: olbrzymie komnaty, meble, gobeliny, malowidła, dokumenty. Potem odbieram mnóstwo książek w Domu Jezuitów i czekam u pani Zofii Jakowskiej na pana Bogdana, który ma mi to wszystko przewieźć do Carmen Florentino. Od dwóch dni nie ma ani światła, ani wody. Kataklizm!

Czwartek, 10 lutego.

Rano spotkanie z kierowcą Damianem w Parku Enriquillo. Okazuje się, że on nie jedzie w piątek do **Higüey**. Jedzie tam dzisiaj. Umawiamy się, że tam się z nim spotkam. Z Krysią Orłowską i jej synem Kamilem do Parku Archeologicznego im. Cayetano Germoséna (*Parque Arqueológico Cayetano Germosén*) w południowej części miasta. Bardzo ciekawa grota. Potem, w północno-zachodniej części **Santo Domingo**, Ogród Botaniczny, ogromny! Cudowne drzewa, piękne rośliny, stawy, mostki, fontanny. Jedziemy najpierw takim małym pociągami dla turystów, a wracamy pieszo podziwiając z bliska najładniejsze zakątki i robiąc zdjęcia.



Puchowiec w Ogrodzie Botanicznym.

Po południu kolejna wizyta w Dominikańskiej Akademii Nauk. Potem zwiedzam *Alcázar de Colón* (Zamek Diego Kolumba, syna Krzysztofa) z 1514 roku. Budowla w stylu gotyckim z domieszką stylu mauretańskiego i renesansowego. Wewnątrz meble hiszpańskie, ceramika, obrazy i rzeźby. Kolejne muzeum, które oglądam, mieści się w dawnych magazynach królewskich (*Atarazanas Reales*), budowli gotyckiej z 1544 roku. Składa się z nawy głównej, dwóch bocznych i kilku pomieszczeń z dawnymi sklepieniami. Obecnie zgromadzone są tam przedmioty pochodzące z okrętów (także z zatopionych): działa, monety, naczynia kuchenne. Wyjątkowo interesująca ekspozycja.

Piątek, 11 lutego.

Tyle książek uzbierałem na **Dominikanie**, że siostra Gertruda zechciała mi podarować na nie dużą torbę. Rano właśnie siostra Gertruda odwozi mnie na dworzec autobusowy. Będąc przekonany, że autobus ma końcowy przystanek na dworcu autobusowym w **Higüey**, jadę na sam koniec, gdzie okazuje się, że dworzec autobusowy to był przedostatni przystanek. Ustawiam więc moje liczne bagaże na murku przy chodniku i zastanawiam się, co dalej robić, gdy z sąsiedniego domku wybiega szczupła, młoda Mulatka i zrozpaczonym głosem woła do mnie: „No i co teraz? Co pan zamierza z tym wszystkim zrobić?”. Wyjaśniam jej sytuację, tłumacząc, że przez pomyłkę wysiadłem za późno, a jestem umówiony ze znajomym na dworcu autobusowym. Na co ona: „No to proszę, niech pan zostawi bagaże u mnie w domu”. Otwiera mi małżeńską sypialnię z ogromnym łóżem i mówi, abym na nim poustawiał moje bagaże. Dziękuję i idę w kierunku dworca autobusowego, ale z duszą na ramieniu, czy mi czasem coś nie zginie. Nawet wstąpiłem do banku i zapytałem urzędnika, czy w tej sytuacji mogę być spokojny. Odpowiedział, że tak i że nie powinienem się martwić, bo to ta pani sama mi zaproponowała.

Odnalazłem Damiana i chwilę porozmawialiśmy. Odebrałem bagaże i okazało się w istocie, że absolutnie nic mi nie zginęło,

po czym udałem się na pobliski przystanek mikrobusów do **Punta Cana**. Bagaży miałem tyle, że musiałem zapłacić podwójnie, jak za dwie osoby, ale to i tak było o wiele taniej, niż gdybym pojechał taksówką.

Mikrobus miał wytyczona trasę, na której się zatrzymał obok mojego hotelu. Wiodła doń bardzo długa aleja. Na szczęście jacyś chłopcy pracowali w pobliżu w ogrodzie hotelowym i natychmiast rzucili się ku mnie, by mi pomóc nieść bagaże. Z recepcji pojechałem wraz z moimi bagażami takim mini pociągiem do budynku, gdzie miałem mieszkać. Pokój był na parterze i miał mały taras od strony morza. Zasiadłem tam i rozkoszowałem się absolutnie rajskim widokiem: między pniami palm kokosowych widać było cudowny turkus morza, łagodnie dmuchała bryza.



Ośrodek wypoczynkowy w Punta Cana.

Przed kolacją poszedłem popływać i znowu ten sam problem. Musiałem przemierzyć spory kawałek, aż znalazłem głębokie miejsce dobre do pływania. Widoki czarowne! Nie tylko cudowna plaża i przepiękny kolor wody, ale te palmy kokosowe powyginane w fantastyczne zgoła esy floresy, a w morzu kępy mangrowców z płataniną korzeni wystających nad powierzchnią wody. Raj!

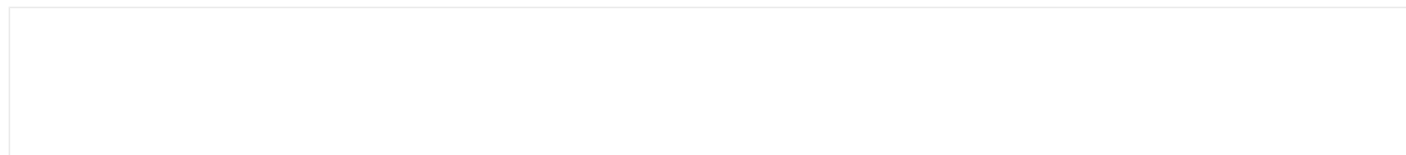
Kolacja i śniadanie nazajutrz były wspaniałe. Wybór potraw ogromny. Mnóstwo tropikalnych owoców. Gorzej było ze

spaniem. Odwykłem zupełnie od klimatyzacji i właściwie przeszkadzała mi. Na dodatek, obok mojego pokoju był jakiś schowek, do którego stale przychodził pracownik i hałasował otwierając i zamykając drzwi przez całą noc. Pech!

Sobota, 12 lutego.

Po śniadaniu taksówką na lotnisko **Punta Cana** i odlot do **Amsterdamu**, skąd po długim oczekiwaniu samolotem do Warszawy. Zanocowałem w zimną lutową noc z niedzieli na poniedziałek u koleżanki szkolnej, Lali Gryckiewiczówny, a nazajutrz, w poniedziałek, 14 lutego, byłem w domu.

Fotografie pochodzą z serwisów Flickr i Pinterest



Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Santo Domingo. Park Enriqueillo.



Santo Domingo. Latarnia Morska Kolumba.



Santo Domingo. Latarnia Morska Kolumba.



Santo Domingo. Domy Królewskie i Dom Jezuitów.



Santo Domingo. Muzeum Domów Królewskich. Sala Królewskiej Umowy Trybunału.



Santo Domingo. Zamek Diego Kolumba.



Santo Domingo. Magazyn Królewski.



Isabela. Świątynia obu Ameryk.



Pomnik Bohaterów Niepodległości Dominikany w Santiago de los Caballeros.



Oswaldo Guayasamín (1919-1999).



Oswaldo Guayasamín (1919-1999). Malarz ekwadorski.



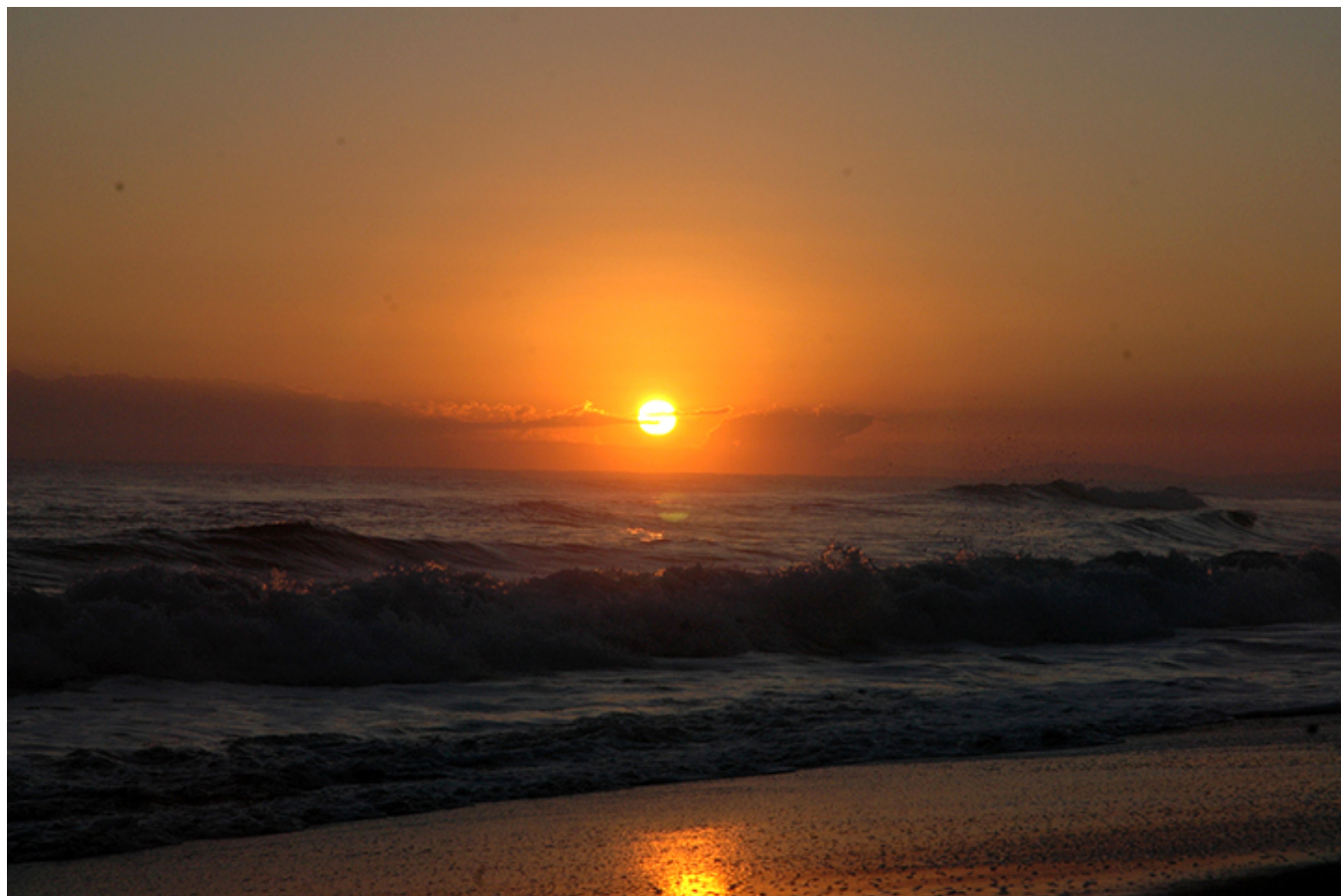
Karnawał w La Vega.



Maska z kolcami, charakterystyczna dla karnawału w Santiago de los Caballeros.



Karnawał w Santiago de los Caballeros.



Zachód słońca nad plażą Cabarete.



Plaza Juan Dolio.



Lasówka granatowa, typowy ptak na Dominikanie.

Poprzednia część „Dziennika z podróży”:

<https://www.cultureave.com/dominikana-22-stycznia-3-lutego-2000-czesc-i/>

Wspomnienia z podróży Zygmunta Wojskiego ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Bronisław Piłsudski – badacz kultur Dalekiego Wschodu



Ajnowie, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”, niepodlegla.gov.pl

Monika Dąbrowska

Pociąg z Osaki do Tokyo pędzi tak szybko, że nie sposób uchwycić zmieniającego się za oknem krajobrazu. Moja podróż po Japonii dobiega końca, a ja próbuję utrwalić w pamięci to wszystko, co przyniosły ostatnie dwa tygodnie dotykania japońskiej rzeczywistości, nowe miejsca, dźwięki, zapachy. Z rozmyślań wyrywa mnie komunikat o zbliżającym się przystanku. Na czerwono wyświetla się YOKOHAMA. Co ja wiem o Yokohamie? Chyba nic, ale czy na pewno? Podświadomość podpowiada mi, że jednak coś ważnego kojarzy się z tym miastem. I nagle, olśnienie! W Yokohamie mieszkają krewni Józefa Piłsudskiego. Czytałam o tym jakiś czas temu i pamiętam, jak bardzo zaciekał mnie ten wątek. Potem, natknęłam się na wywiad z dziennikarką Dorotą Hałasą, która w Japonii, spotkała się z Kazuyasu Kimurą, wnukiem Bronisława Piłsudskiego, starszego brata Marszałka. A ostatnio, śledzę, niezwykłą podróż, w którą, śladami brata swego pradziadka, udała się Danuta Onyszkiewicz. Wyprawę Danuty Onyszkiewicz można obserwować wchodząc na stronę: sladamibronka.com



Bronisław (drugi z lewej) i Józef (trzeci) Piłsudscy, 1885. Kółko samokształceniowe „Spójnia” w gimnazjum wileńskim, fot. wikipedia

Bronisław Piłsudski jest postacią intrygującą. My Polacy, mało o nim wiemy, a przecież, na świecie cieszy się dużym uznaniem. Ma on bowiem, ogromne zasługi na polu etnografii i antropologii, jako badacz kultur Dalekiego Wschodu. Badał i opisywał ludy Niwchów i Oroków oraz Ajnów, początkowo na Sachalinie, a następnie na wyspie Hokkaido. Materiały naukowe które zebrał i opracował, najpierw jako katorżnik, a potem oficjalny przedstawiciel naukowych instytucji rosyjskich, są bezcennym źródłem wiedzy w dziedzinie meteorologii,

lingwistyki, życia plemiennego i rodzinnego, zwyczajów i obyczajów tamtejszych plemion. Pod koniec XX wieku, w prestiżowym wydawnictwie naukowym De Gruyter Mouton, zaczęły wychodzić po angielsku, pod redakcją Alfreda F. Majewicza, „Dzieła Zebrane” Bronisława Piłsudskiego. W Japonii, w Sapporo, postawiono pomnik ku czci Piłsudskiego, a i w podręcznikach szkolnych figuruje jego nazwisko. Jednym z ważniejszych dokonań Bronisława, są unikalne nagrania dźwiękowe mowy i pieśni Ajnów zarejestrowane na woskowych wałkach. Pozostały też, spisane podania i legendy, słowniki, i duży zbiór fotografii. Bronisław Piłsudski ocalił Ajnów od zapomnienia. Nie planował kariery naukowej w etnografii, nie miał też w tej dziedzinie formalnego wykształcenia. Na Daleki Wschód został zesłany, po tym, jak karę śmierci za planowanie zamachu na życie cara Aleksandra III, udało się zamienić na kilkunastoletnią katorgę. Nota bene, za udział w tymże spisku, powieszony został starszy brat Lenina, Aleksander Uljanow. Można sobie tylko wyobrażać, co przeżywał dwudziestoletni Bronisław, wyrwany ze swego środowiska, odseparowany od rodziny i przyjaciół, wepchnięty na statek, z którego, jako katorżnikowi, nawet w portach postojowych nie wolno było zejść.

Namiastkę tych przeżyć i refleksji znaleźć można w listach Bronisława do ojca. Udostępnia je czytelnikom Profesor Antoni Kuczyński, autor wielu publikacji o Piłsudskim. Bronisław Piłsudski na zesłaniu spędził kilkanaście lat swego życia.

Pierwsze lata, jako katorżnik, potem miał status osadnika. Nie poddał się rozpacz, choć zdawał sobie dobrze sprawę, jakim cieniem kładło się wygnanie, nie tylko na jego własnym życiu, ale na losie ojca i rodzeństwa. Szukając wyższych wartości, uznał, że będąc pożytecznym dla innych, nada sens swej nowej sytuacji. Do rdzennej ludności, podchodził z szacunkiem i empatią. Miał łatwość nawiązywania kontaktów z dziećmi, przez co, zdobywał zaufanie ich rodziców. Z biegiem lat, poznał tamtejsze języki, zaczął zakładać szkoły, uczył uprawy roli, popularyzował zasady higieny, bronił autochtonów przed lokalną administracją. Stał się ich orędownikiem.



Bronisław Piłsudski (1866-1918), fot. wikipedia

Na Sachalinie, już jako wolny osadnik (ale bez prawa opuszczenia Rosji), poznał siostrzenicę wodza Bafunke Kimury, Chuusammę, z którą ożenił się. Mieli dwoje dzieci, syna Sukezo, którego potomkowie mieszkają obecnie w Jokohamie i córkę Kyo, której rodzina żyje na Hokkaido. Po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej Piłsudski udał się do Japonii, a następnie przez Stany Zjednoczone, w roku 1906, wrócił do Europy, by zamieszkać w Krakowie, a potem w Zakopanem, gdzie prowadził badania etnograficzne Podhala. Do swej ajnuskiej rodziny nigdy nie

powrócił. Podobno, przed wyjazdem czynił starania, by zabrać rodzinę ze sobą, ale nie uzyskawszy zgody wodza, odjechał więc sam. Sytuacja nie jest jasna, jednak fakt opuszczenia najbliższych, musiał do końca życia ciążyć na sumieniu Bronisława Piłsudskiego.

Po wybuchu I wojny światowej Piłsudski wyjechał do Szwajcarii i tam włączył się w działalność niepodległościową. W roku 1917 znalazł się w Paryżu, gdzie w kolejnym roku, w wieku 52 lat, tragicznie zakończyło się jego życie. Ciało znaleziono w Sekwanie, 17 maja 1918 roku. Wielu badaczy uważa, że było to samobójstwo. Bronisław Piłsudski, zesłaniec, etnograf, antropolog, wielki przyjaciel ludów Dalekiego Wschodu i starszy brat Marszałka Piłsudskiego, odszedł nie doczekawszy niepodległej Polski.



Portret Bonisława Piłsudskiego autorstwa A. Varnasa, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”,
niepodlegla.gov.pl

Warszawski autobus miejski, do którego wsiadłam kilka dni przed wyjazdem do Japonii nie był zatłoczony, ale miejsc siedzących było tylko kilka. Usiadłam obok miłej, uśmiechniętej, elegancko ubranej kobiety. Była jesień, ale dzień wyjątkowo piękny, ciepły, słoneczny. Z zaciekawieniem obserwowałam widoki za oknem autobusu. Na kolejnym przystanku, wsiadła

grupa Wietnamczyków. Stanęli nieopodal mnie, kontynuując, w swym języku, zapewne wcześniej zaczęłą rozmowę. Moja sąsiadka, już się nie uśmiechała. „Takich, to my tu nie potrzebujemy”, wyrzuciła z siebie, czekając na potwierdzenie swej racji. „Takich, to znaczy, jakich?”, zapytałam, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Milczałyśmy. Autobus pomykał dalej. Za oknami zobaczyłam zarysy pomnika Józefa Piłsudskiego. Po kilku minutach wysiadłam.

„Czy zna pani losy starszego brata Marszałka?” Szkoda, że wtedy nie zadałam jej tego pytania.

Noc straszącej dyni



Stefan Król

Pierwszy – drugi listopada. Sporo nazw: Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny, Zaduszki, Święto Zmarłych. Cmentarze, miejsce wiecznego spoczynku zmarłych, zapełniają się żywymi. Na alejkach cmentarnych usłanych opadłymi liśćmi pełno ludzi. Przejechali nieraz setki kilometrów by spotkać się z rodziną przy grobach swoich bliskich. Prawdziwa wędrówka ludów. Wieczorem nad cmentarzami łuny. To tysiące smutnych, chybotliwych światełek rozjaśnia niebo i tworzy uroczysty nastrój. Ludzie powracają pamięcią do zmarłych. Ożywają oni w płomykach listopadowego wieczoru i toczą wielki milczący dialog

z naszymi myślami. Są zawsze od nas mądrzejsi o swoją śmierć, choć przypominają nam się w pulsujących życiem scenach i obrazach, może tylko w zawikłanej chronologii i niejasnym układzie jak na fotografiach z rozrzuconego albumu. Zdają się krążyć wśród spacerujących, zamyślonych czy medytujących postaci, mają prośby do nas i rady dla nas: wystarczy przeczytać kilka inskrypcji nagrobnych by być tego pewnym. Te dwa dni i wieczory zawsze były i są świętem przenikania czy też więzi dwu światów: tego żywego i tego zmarłych. W takiej więzi „wieczność z traw się wykojarza” (Leśmian). To Polska.

Noc z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada: Halloween. Wielkie dynie z otworami oświetlone od wewnątrz; szkielety, posępne zakapturzone postacie, maskary z najbardziej dreszczowych bajek; maskarady diabłów, duchów, czarownic i żywych trupów zaludnia wielkie miasta i małe miasteczka; gromadki poprzebieranych dzieci – od najmłodszych, pod opieką rodziców do starszych „straszących” samodzielnie – chodzących od domu do domu z obsesyjnie powtarzanym pytaniem: *trick or treat?* – psikus albo poczęstunek? To Ameryka Północna.

Czy te dwa święta, dwa tak różne zwyczaje, dwa nieprzystające do siebie nastroje mają coś ze sobą wspólnego? Mają. Są to dwie odpowiedzi kulturowe na tę samą potrzebę duchową: kontaktu ze światem zmarłych.

Halloween jest być może najstarszym ze świąt świata zachodniego, jego korzenie sięgają najdawniejszych europejskich tradycji. Historia tego święta zaczyna się wraz z Celtami, starożytnym ludem europejskim, który utworzył pierwszą wielką cywilizację na północ od basenu Morza Śródziemnego. Wychodząc z obszarów naddunajskich i przesuając się na zachód pod naporem Germanów Celtowie, chronili się na wyspach brytyjskich; w IV w. przed Chrystusem obie wyspy brytyjskie były już celtyckie, a Irlandia miała zostać na długie wieki matecznikiem Celtów.

Celtowie żyli w głębokiej więzi z naturą, kierując się jej rytmem i porami roku. Rok dzielili na cztery części, a każda z nich rozpoczynała się odpowiednim świętem. I tak: 1 listopada (*Samhain*) był początkiem zimy i jednocześnie początkiem nowego roku; 1 luty (*Imbolc*) rozpoczynał kolejną porę roku – uścisk pory chłodnej zaczynał słabnąć wraz wydłużaniem się dnia i narodzinami jagniąt będących znakiem życia i nadziei; 1 maja (*Beltane*) był świętem ostatecznego powrotu pory pięknej i słońca czyli źródła życia; i 1 sierpnia (*Lugnasa*) – apogeum lata, czas zbiorów, lecz również czas, w którym po czerwcowym przesileniu dni zaczynały się skracać, a jesień coraz wyraźniej zaznaczała swoją obecność.

Wśród tych czterech świąt *Samhain* zajmował miejsce szczególne. Dla Celtów czas nie miał charakteru linearnego, lecz

był cykliczny i określone wydarzenia miały się powtarzać z pewną regularnością. Czas był po prostu maszyną do produkowania powrotów, łączenia narodzin i śmierci. Ponieważ *Samhain* był początkiem nowego roku i końcem starego, był więc czasem, kiedy spotykali się żywi i umarli, zatem niejako naturalnym świętem zmarłych. Starożytni Celtowie świętowali podczas *Samhain* świętą więź życia i śmierci. Nie miało to nic wspólnego ze strachem przed zmarłymi, czy też złymi duchami. Było to natomiast święto wspólnoty i jedności pomiędzy żywymi i zmarłymi, których się nie lękano i którym okazywano szacunek. Uważano, że tego dnia zmarli mogą powrócić na ziemię pomiędzy żywych by świętować razem ze swoją rodziną. Sprowadzały ich na ziemię nie ciemne siły koszmarów (patrz współczesny Halloween) lecz pamięć i miłość żywych.

W średniowieczu w tym niezwykłym tyglu ludów, kultur i tradycji nastąpiła chrystianizacja zwyczajów i świąt pogańskich. Zwykle do pogańskich dat dodawano chrześcijańskie celebracje. Niektóre święta Kościół pierwszych wieków wprowadził tylko po to by „ochrzcić” istniejące wcześniej święta przedchrześcijańskie. Chrześcijaństwo stanowiło wyjątkową siłę łączącą, zachowującą, wybierającą i przekształcającą to wszystko, to co pochodziło z czasów poprzedzających.

Święto Wszystkich Świętych powstało ze zderzenia celtyckiego *Samhain* i rzymskiego kultu męczenników. Jeśli kult

pojedynczych męczenników sięga pierwszych wieków, to począwszy od IV w. w kościołach wschodnich zaczęto czcić wszystkich świętych – znanych i nieznanym – w jednym i tym samym dniu. Kościół syryjski czynił to podczas okresu paschalnego, bizantyjski – w niedzielę po zesłaniu Ducha Świętego. Na tych obszarach Europy, gdzie tradycja celtycka miała silniejszy wpływ, tradycja *Sumhain* była dość żywa i dla tego zdecydowano, aby połączyć z tym starożytnym świętem oddawanie czci świętym. W VIII w. episkopat frankoński święto Wszystkich Świętych ustanowił w tym samym czasie kiedy obchodzono *Sumhain*. W połowie IX w. święto zostało oficjalnie podniesione do godności święta ogólnokościelnego i wyznaczone na dzień 1 listopada przez papieża Grzegorza IV. Forma kultu wszystkich świętych zależała (i zależy) od tradycji lokalnych.

Jak to się więc stało, że nastrojowe znicze na grobach zostały zastąpione przez ponure, podświetlone dynie przy wejściu do domów? Powodów tego należy szukać w historii kolonii angielskich, a w szczególności pierwszej kolonii jaką była właśnie Irlandia. Inwazja Irlandii za czasów panowania okrutnej królowej Elżbiety I, a następnie reformacja protestancka, liczne powstania irlandzkie krwawo tłumione przez okupantów (przypomina się dziewiętnastowieczna historia Polski), przerażające ludobójstwo dokonane na narodzie irlandzkim w XIX w. przez Anglików sprawiły, że święto Wszystkich Świętych wyemigrowało z Irlandii za Ocean i tam uległo amerykanizacji.



Zacznijmy od języka. Sama nazwa Halloween jest niczym innym jak amerykańskim zniekształceniem określenia pochodzącego z mówionego języka angielskiego z Irlandii: *All Hollows' Eve* – wigilia Wszystkich Świętych. Halloween bierze więc swój początek w ortodoksyjnym świecie katolickim by skończyć jako spaczona parodia tego, co święte.

Gdy Irlandczycy przybyli do Nowego Świata (w połowie XIX w. wyemigrowało 1.5 miliona Irlandczyków, milion zmarło z głodu;

na początku wieku XIX Zieloną Wyspę zamieszkiwało kilka milionów ludzi) spotkali się z wrogością miejscowego społeczeństwa, które szczyciło się tym, że jest *wasp* tzn. *white, anglo-saxon and protestant*. Irlandczycy mieli więc tylko jedną „pozytywną” cechę: *white* i „straszną” wadę; byli żarliwymi katolikami. Święto *All Holows’ Eve* zostało więc przywiezione do Ameryki przez irlandzkich emigrantów wraz z całym dziedzictwem ich wiary – głębokim nabożeństwem do świętych – i kultury ich ziemi. Oczywiście rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie uznał święta tak bardzo katolickiego, a *white, anglo-saxon and protestants* przyglądali się ze zdumieniem rytom kultu świętych i zmarłych celebrowanych przez tych, którzy przybyli, uciekając przez straszną klęskę, która dotknęła ich kraj. W zderzeniu kultur, jak zwykle w takich wypadkach bywa, święto zostało zachowane, ale zmieniło swoją treść. Katolicka interpretacja dnia Wszystkich Świętych została odrzucona, zastąpiona ponurymi wyobrażeniami purytańskich zaświatów pełnych postaci zmarłych powstających z grobów czy dusz dręczących tych, którzy za życia w jakiś sposób im zaszkodzili. Ten wymiar zaświatów kultura Nowego Świata stara się egzorcyzmować poprzez maski i żarty. Piękne irlandzkie słowo *hollow* oznaczające świętość musiało niejako z konieczności wyjść z użycia. Z tego, co irlandzkie pozostała w *Halloweenie* jedynie legenda o Jacku O’Lanternie tradycyjnie związana z tym świętem. Opowiada się mianowicie, że Jack zaprosił szatana, aby razem z nim pić, ofiarowując mu duszę za jednego szylinga.

Wziąwszy monetę położył ją obok krzyża, co uniemożliwiło diabłu zabranie jego duszy. Lecz kiedy Jack umarł otrzymał zakaz wstępu nie tylko do raju, ale i do piekła. Diabeł uderzył go płonąca głównią w twarz i skazał na wieczne błąkanie się po ziemi z twarzą w ogniu. Pusta podświetlona dynia ma nam przypominać biednego Jacka O'Lanternę. (Nawiasem mówiąc nasz Twardowski radził sobie z diabłem znacznie lepiej). Ta groteskowa lampa-dynia, której Irlandczycy nigdy nie widzieli na swojej wyspie stała się więc swego rodzaju logo dla nowej wersji świąt *Samhain* i Wszystkich Świętych. Przywołując znane w ekonomii prawo Kopernika-Greshama możemy powiedzieć: moneta gorsza wyparła z rynku monetę lepszą.

Czy musimy się na taką podmianę monet godzić? Niestety nasza zgoda lub niezgoda niewiele tu znaczy. Jednostkowe wiosło nie zawróci biegu rzeki: amerykanizacja kultur narodowych jest duchem czasu. *Halloween* podbija już Europę Zachodnią, stał się już nawet problemem duszpasterskim we Włoszech. Jedynie co możemy zrobić to starać się monetę o mniejszej ilości kruszcu choć trochę uszlachetnić. Nie zabierajmy dzieciom uciechy grożenia psikusem i otrzymywania w zamian słodkiego poczęstunku, zaprośmy je natomiast na drugi dzień po *Halloweenie* na cmentarz by na grobach zapaliły znicze i pospacerujemy z nimi po cmentarzu.

Stefan Król (1937-2015) – kanadyjski fizyk, piszący felietony.

<http://www.cultureave.com/stefan-krol-glos-w-dyskusji/>